



AKADEMIA BIALSKA

Tadeusz Jasiński

ZAPOLE str. 6



**Przyszwy i spody
polskiego buta**

Maciej Podgórski

**Przed meczem Polska-Włochy
str. 3**

ROK ZAŁOŻENIA 1933

KAMENIA

LUBLIN 6 IV 1975 Nr 7 (571)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Królewska i siermiężna

Nakładem Lubelskiego Towarzystwa Naukowego — Państwowe Wydawnictwo Naukowe opublikowało właśnie pierwszy tom „Dziejów Lubelszczyzny”; wypełniono tym samym istotną lukę w historiografii regionu. Opracowanie o cechach syntezy historycznej obejmuje czasy zamierzone, artykułowane przez archeologię, prowadzi czytelnika przez kolejne okresy rozwoju i upadku obszaru między Wisłą a Bugiem, kończąc się momentem wyzwolenia w 1944 roku. Trzynastu autorów przygotowało książkę liczącą niemal 1000 stron, która choćby ze względu na swój pionierski charakter stanie się niewątpliwie przedmiotem uwagi specjalistów oraz ludzi spontanicznie reagujących na to, co lubelskie. Jak ocenią publikację naukowcy spoza zespołu autorskiego i amatorzy czystej refleksji historycznej, dowiemy się zapewne niebawem z recenzji oraz z mniej zobowiązujących form opinowania. Tymczasem prezentujemy okoliczności i intencje, które towarzyszyły narodzinom tej obszernej pracy. Do redakcyjnej dyskusji nad „Dziejami Lubelszczyzny” zaprosiliśmy niektórych historyków związanych z redakcją i autorstwem dzieła: doc. dr. Albina Koprakowiaka, doc. dr. Zygmunta Mańkowskiego, prof. dr. Tadeusza Mecla i prof. dr. Henryka Zinsa oraz mgr. inż. Henryka Gawareckiego, historyka sztuki, regionalistę. Redakcję reprezentował Ireneusz J. Kamiński.

**DZIEJE
LUBELSZCZYZNY**



I. J. Kamiński: — Wydaje się interesujące kiedy powstał zamiar wydawnictwa, jak przebiegała jego realizacja, jakie intencje kierowały pracą autorów?

Z. Mańkowski: — Można by też zastanowić się nad miejscem tej książki w regionalnej historiografii kraju. Wiemy, że Pomorze, Mazowsze, Wielkopolska i Śląsk znacznie wcześniej otrzymały tego rodzaju syntezę. Podjęcie opisanego dzieła Lubelszczyzny było więc aktem dużej odwagi, ale i pilnego zapotrzebowania.

H. Zins: — Ponieważ przykładałem ręki do wydawnictwa jako jeden z redaktorów, pozwolę sobie przypomnieć, że koncepcyjnie książka została poczęta 10 lat temu, w obrębie Oddziału Lubelskiego PTH. Powołano zespół autorski i przystąpiono do wstępnych badań. Szybko okazało się, że zbliżające się 30-lecie Polski Ludowej i 500-lecie województwa lubelskiego skłaniają do znacznego poszerzenia pracy o zagadnienia współczesne. W tych okolicznościach doszło do powstania II tomu „Dziejów Lubelszczyzny”, poświęconego trzydziestolecu; poddawany jest on właśnie wstępnej obróbce redakcyjnej. W związku z podziałem i poszerzeniem wydawnictwa należało też znaleźć taki zespół autorski i organizacyjny oraz takiego mecenasa, który gwarantowałby pełnię specjalistyczną przedsięwzięcia. Takim organem w naszym środowisku okazało się Lubelskie Towarzystwo Naukowe, które od momentu zmiany koncepcji patronuje publikacji finansowo i organizacyjnie.

T. Mencil: — Przeszłość wydawnictwa jest chyba dalsza. Pierwsze plany powstały jeszcze w

okresie międzywojennym, kiedy miejscowi historycy myśleli o opracowaniu całokształtu dziejów Lubelszczyzny. Warto pamiętać, że pierwsze kredyty na „Dzieje Lubelszczyzny” przyznano już na przełomie lat 1936/37. Otrzymało je Polskie Towarzystwo Historyczne, którego ówczesny prezes, profesor Halban, był gorącym zwolennikiem wydawnictwa...

Z. Mańkowski: — ...a także równoczesnej publikacji odpowiednich źródeł, co jest na warsztacie od wielu już lat.

H. Zins: — Chciałbym nawiązać do problemu przedstawionego przez docenta Mańkowskiego na wstępie naszej dyskusji. „Dziejów Lubelszczyzny” nie można porównywać z syntezami Wielkopolski, Pomorza czy Śląska. Każde z nich obejmuje obszar kilku województw. Śmiem powiedzieć, że obejmujące ok. 120 arkuszy „Dzieje Lubelszczyzny” są chyba najgruntowniejszą i może najpełniejszą monografią województwa, jaka pojawiła się w Polsce.

Z. Mańkowski: — Przy podejmowaniu wielkich syntez szczególnie dotkliwie odczuwa się braki w zakresie analityki. Zastanówmy się, czy książka odpowiednio ostro ujawnia białe plamy w dziedzinie badań nad dziejami Lubelszczyzny? Czy wychodząc z tego rodzaju niedostatków publikacji można by opracować plan badań historycznych?

T. Mencil: — Odpowiedź na te pytania warto by poprzedzić próbą ogólnej oceny naszej monografii. Otóż jej cechą szczególną jest obecność

Dokończenie na str. 5

MŁODY CHEŁM POETYCKI

Jerzy Krzysztof Misiec

* * *

gdybym miał ogień
musiałabyś kartką papieru być
co spełnioną twarz ma zmarszczoną
popiołem

gdybym miał wodę
skąłą wapienną byłabyś
której wieczność jest opisana

gdybym miał powietrze
byłabyś ptakiem błękitnym
któremu śmierć wróżą skrzydła

gdybym miał ciebie
zniszczony przez ogień
ocalony przez wodę
byłbym dla ciebie powietrzem

**Cezary Grzegorz
Bogusz**

NIEDZIELNA ANGINA

Pigułami przybity
do ciężkiego
kroku
Z chorą matką
w pamięci
Gonię czas
ulicami miasta
cierpiącego na niedzielne lonistwo
zamkniętych sklepów
pełnych nie wydanych pieniędzy
pozostawionych na jutro

**Wiesław Aleksander
Kałabun**

* * *

marzenie we mnie jak herezja
zabita gwoździem
spojrzeniem od którego bronić się będą
skrwawionym krzyżykiem

marzenie z kobietą
z którą mnie mija świat
przerzucony przez klasztorny mur
dotykając szkła po jakim jest się
między

szmatą hemoglobiny
martwą ścianą serc do wynajęcia
marzenie z kobietą
zapiętą pod szyję

dławiącą we mnie świat wyrobiony
jak ciasto
trzymającą na piersi moją
oderwaną rękę

JUŻ ponad rok amerykańska FBI prowadzi jedną z największych akcji poszukiwawczych w całej swej historii. Dotychczas nie znaleziono jednak śladu Patty (Patrycji) Hearst, uprowadzonej (7) milionerki córki z Kalifornii. Dotychczas akcja nie daje rezultatów. Agenci FBI poświęcili jej już 270 tysięcy godzin, przepytano około 25 tysięcy wszystkich możliwych informatorów, sam stan Kalifornia wydał już na ten cel 3 miliony dolarów. Rezultat: nic, żadnego konkretnego śladu. *Nie wiemy, gdzie ona jest* — skarżył się Charles Bates, kierownik akcji w San Francisco — *ale znamy niezliczoną liczbę miejscowości, w których jej nie ma...*

Porwania 19-letniej Patty Hearst dokonała w dniu 4 lutego ub. r. tzw. „Symbionese liberation army” — przypomina zachodniemiecki tygodnik „Der Spiegel”. — Była to terrorystyczna grupa licząca nie więcej niż kilkunastu członków. W dwa tygodnie później rodzina Hearstów spełniła warunek SLA, która żądała rozdziału między biedną ludność Kalifornii środków żywnościowych na ponad dwa miliony dolarów w zamian za uwolnienie Patty.

Potem nastąpiła trwająca wiele tygodni „przerwa w nadawaniu”. SLA porozumiewała się z zewnętrznym światem za pośrednictwem pozostawianych w różnych miejscach taśm magnetofonowych. I wreszcie 3 kwietnia ub. r. doszło do sensacyjnego wyznania Patty: dziewczyna przyłączyła się do swoich porwaczy i jest obecnie członkinią SLA, używając pseudonimu „Tania”. 15 kwietnia dokonano napadu na bank w San Francisco. Patrycja demonstracyjnie wzięła w tym napadzie udział.

Miesiąc później doszło do wymiany strzałów między policjantami a grupą członków SLA, kilku z nich zostało zabitych. W kryjówec SLA nie odnaleziono jednak Patrycji.

Rodzina Hearstów, zwłaszcza w pierwszych miesiącach po zaginięciu córki, żadna oferta nie wydawała się zła. W ich willi w miejscowości Hillsborough gromadziły się tłumy wróżek i jasnowidzów nie gardzących spirytystycznymi seansami, odwołujących się do nieznanych mocy. W celu uporządkowania takich informatorów narzeczony Patrycji,

Steven Weed, ponumerował najważniejszych — od 1 do 7.

Do pomocy zameldował się m. in. samozwańczy tajny agent, Erich Errstein, który twierdził, że zastrzelił w czasie ucieczki niemieckiego lekarza-

Gdzie jest Patrycja?

zbrodniarza wojennego, Josefa Mengele. Zaproponował Hearstom, że porwie Patrycję. Ponieważ jednak nie chciał wyjawiać, w jaki sposób najpierw znajdzie porwaczy, Hearst nie zgłosił gotowości wypłacenia na koszt przedsięwzięcia 25 tysięcy dolarów.

Ciągle nie wiadomo, do jakiego stopnia Patrycja dobrowolnie i świadomie przeszła do SLA. Liczne spekulacje, które szerzyły się początkowo, dziś nie są już traktowane tak poważnie. Na przykład niektórzy uważali, że Patrycja od samego początku była w zмовie ze swymi porwaczami. Jak inaczej, podobno zaskoczona wczesnym rankiem w szlafroku, mogła zabrać ze sobą torebkę z prawem jazdy?

Inna wersja była tego rodzaju, że Patrycja od dawna znała człowieka z SLA, w którym się później zakochała — Williama Wolfe'a i nawet pozostawała z nim w intymnych stosunkach.

Głos Patrycji, nagrany na taśmie magnetofonowe, jest nieco zmieniony. Są tacy, którzy twierdzą, że dziewczyna musiała głęboko przeżyć oglądanie na ekranach telewizora mieszkańców getta, którzy rzucali się na żywność, opłaconą przez Hearsta. Długie kolejki przez miejscami, w których tę żywność dzielono, mogły otworzyć jej oczy na tę część kalifornijskiej rzeczywistości, o której nie miała pojęcia. Długie dyskusje z porwaczami, którzy samo pochodzą z mieszczańskiego środowiska i którzy stale wykładali jej swoje prawdy — dokonały chyba reszty.

Tak widzi sprawę również bezpośrednio zainteresowany Steven Weed, narzeczony Patrycji. Stwierdza on: *Gdybym miał sporządzić coś w rodzaju bilansu ostatniego roku, to powiedziałbym — że teraz lepiej rozumiem obydwoje strony i w pewnym sensie sympatyzuję z nimi — z Patrycją i SLA.*

Wszystko to jest jednak bardzo tajemnicze. Przedstawiciele uniwersyteckiej lewicy w Berkeley uważają np., że SLA była przedsięwzięciem nie tylko infiltrowanym przez CIA, ale nawet powołanym przez nią do życia po to, aby zdyskredytować radykalną lewicę. Spekulacje dotyczą przede wszystkim przywódcy SLA, Donalda Defreeze. Uciekł on w 1972 roku z więzienia Soledad, ale uciekł w taki sposób, że strażnicy musieli po prostu przyznać oczy. Czy CIA nie była szczególnie zainteresowana, aby ta ucieczka się powiodła?

Rodzice Patrycji nie tracą nadziei. Sami na własną rękę też prowadzą poszukiwania, nie szczędząc pieniędzy. Nie może im się pomieścić w głowach, że córka dobrowolnie przeszła na stronę porwaczy. Ze swojej strony policja, która ma dowody, iż Patrycja brała udział w napadzie na bank w San Francisco, zamierza ją oskarżyć i przekazać do dyspozycji sądu. Ale gdzie ją znaleźć? Stany Zjednoczone, Kanada, Meksyk i inne kraje Ameryki Łacińskiej zostały już spenetrowane. Czy jednak dokładnie?

(m)



w którym żyjemy

ZASTRASZAJĄCE LICZBY

PRASA hiszpańska zwraca uwagę na niepokojący wzrost alkoholizmu. W 1954 roku tylko 0,5 proc. mieszkańców Hiszpanii było uważanych za alkoholików, dziś — aż 7 proc. Pije coraz więcej kobiet: około 650 tysięcy Hiszpanek jest ogarniętych tym nałogiem. Dr Bogan, pracownik tzw. służby antyalkoholowej, przeprowadził ankietę wśród dzieci w wieku od 4 do 10 lat. Okazało się, że 50,9 proc. (!!!) spośród nich piło codziennie alkohol. Biuletyn towarzystwa „Społeczeństwo-Rodzina” alarmował przed rokiem, że pije co czwarta kobieta w ciąży!

W 1973 r. pijaństwo było bezpośrednią przyczyną 435 śmiertelnych w skutkach wypadków samochodowych.

Wśród producentów alkoholu Hiszpania zajmuje trzecie miejsce w świecie, a czwarte w Europie pod względem śmiertelności spowodowanej pijaństwem.

ZABÓJCY I OFIARY

KRONIKI policyjne podają, że we Francji znacznie zwiększyła się przestępczość. W 1973 r. liczba przestępstw wzrosła do 1 763 372 (w 1963 r. — 581 618): na tysiąc mieszkańców wypadają prawie 34 przestępstwa.

Coraz częściej ofiarami napadów, rabunków i kradzieży stają się ludzie starsi, którzy ciągle wolą przechowywać pieniądze w domu niż w kasach oszczędnościowych. Doskonale wiedzą o tym bandyci. Marie Renard, 70-letnia właścicielka małego sklepu w Paryżu, długo się broniła zanim ujawniła napastnikom, gdzie przechowywała gotówkę. Nie oszczędzono jej życia... W Marsylii starsze małżeństwo — także sklepikarze — było długo torturowane. W końcu któreś z małżonków wskazało miejsce, gdzie znajdują się pieniądze i wówczas właściciel sklepu zmarł na zawał serca.

Wstrząsająca scena rozegrała się w miejscowości Dremil-Lafage. Małżonkowie Boyer (on — 72 lata, ona —

69) byli pięciokrotnie wieszani i odcinani przez młodościowych bandytów, którzy zrabowali im wszystkie oszczędności, choć ostatecznie darowali życie.

Dawniej — stwierdza tygodnik „Le Point” — zawodowi bandyci doskonale znali kodeks karny i doskonale wiedzieli do jakich granic warto się posunąć, aby nie zaryzykować kary śmierci. Dzisiejsi napastnicy są najczęściej „amatorami”, którzy nie cofają się przed zabójstwem, nawet jeśli nie jest ono „konieczne”.

Prawdziwą plagą stały się w Paryżu włamania. Latem ub. roku notowano aż 300 włamań dziennie. Paryż przoduje zresztą w smutnej statystyce przestępstw i zbrodni. Na następnych miejscach uplasowały się: Marsylia, Lyon i Lille.

KIEPSKA SYTUACJA AKTORÓW

PRASA zachodniemiecka pisze o coraz trudniejszej sytuacji aktorów w RFN. Ocenia się, że jest ich kilkanaście tysięcy. Tylko nieliczni osiągają sukcesy i... duże zarobki. Olbrzymia większość aktorów nie ma stałych kontraktów, pracuje od przypadku do przypadku. Ostatnio dokonane cięcia oszczędnościowe w programach telewizyjnych i radiowych radykalnie zmniejszyły szan-

se na otrzymanie stałej pracy. Jak wynika z danych Federalnego Zakładu Ubezpieczeń, tylko niewielu aktorom w wieku emerytalnym udało się uzyskać rentę starczą.

Z kolei dzienniki brytyjskie zwracają uwagę na ciężką sytuację samych teatrów w Wielkiej Brytanii. Badania wykazują, że ponad połowa przyjeżdżających do W. Brytanii turystów ogląda spektakle teatralne. Teatry muszą płacić podatek od każdego sprzedanego biletu, co bardzo ujemnie wpływa na ich budżety. Obecnie 11 teatrów prowincjonalnych, a więc prawie 20 proc. ogółu, myśli o zamknięciu swych podwoi z uwagi na katastrofalną sytuację finansową. Labourystowski deputowany, Bryan Magge, oświadczył na forum Izby Gmin: „Subsydiowanie teatrów jest rzeczą konieczną. Jeżeli wyłączenie sytuacji rynkowej ma determinować przyszłość naszych teatrów, wiele z nich nie będzie miało przyszłości. Po prostu znacznie więcej zysków przyniesie wyrzucenie teatru z zajmowanej przez niego posesji i wybudowanie w tym miejscu domu towarowego”.

KONIEC BOOMU?

CHODZI o handel obrazami. Jak wiadomo, wartość dzieł sztuki nie jest określona raz na zawsze, zależy bowiem od wielu czynników. Handel tymi przedmio-

tami rozwijał się w ciągu ostatniego ćwierćwiecza w tempie oszalałym. Rekordy cen padały na każdej wielkiej sprzedaży publicznej. Od 1959 r. ceny prac impresjonistów wzrosły 20-krotnie, wielu malarzy współczesnych — 200-krotnie, a niektórych nawet 300-krotnie. Dzieła sztuki stały się najlepszą lokatą kapitału. I oto w lipcu ub. r. na aukcji u Sotheby'ego stało się coś nieoczekiwanego: „Sekwana w Argentynie” Moneta sprzedana w 1972 r. za 604 800 dolarów osiągnęła cenę jedynie 466 200 dolarów. Na wyprzedażach w Paryżu, w Londynie i w Nowym Jorku wiele obrazów w ogóle nie doczekało się nabywcy! Oznaki zahamowania zaczęły się mnożyć. Japończycy, którzy w latach 1972-1973 wykupowali obrazy masowo, zaczęli je teraz na gwałt sprzedawać.

Kryzys — jak pisze francuski tygodnik „L'Express” — przebiega fazami. Koniec boomu obserwuje się w tych dziedzinach, w których dawniej było najwięcej spekulacji, a więc przede wszystkim w sztuce nowoczesnej. Hordy handlarzy, pośredników i kolekcjonerów przyciągniętych nadzieją szybkiego i pewnego wzbogacenia się, stworzyły wokół sztuki nowoczesnej sztuczne „ożywienie”. Wystarczyło przekonać publiczność, że sztuka nowoczesna jest tak samo solidna, jak ta z muzeów, w co angażowała się z powodzeniem krytyka, środki masowego przekazu i same muzea. Wszystko to rozwiało się działy jak sen. Konsekwencje przebudzenia nie są jednak tak całkiem złe. Obecnie już o wiele rzadziej niż w czasach euforii kupuje się obraz tylko dla podpisu, który on nosi. Ludzie nie są wystarczająco bogaci, aby kupić byle co, lecz i nie tak biedni, by wyzbywać się tego, co mają najcenniejszego.

Kryzys kryzysem, ale kradzież obrazów nadal jest zjawiskiem powszechnym. W 1974 r. skradziono we Francji 4 tysiące obrazów. Klasyfikacja jest następująca: skradzione obrazy są po kilku miesiącach wprowadzane na rynek, głównie w innym kraju. Często złodzieje uprzednio sprzedają je paserom. Walka z kradzieżą obrazów natrafiła na duże trudności. Posiadacz dzieła sztuki woli w samotności przeżywać swoje szczęście.

GARMONDEM

PO przeszło roku drobiazgowego śledztwa trafiła niedawno do sądu sprawa dyrektorki, księgowej i kasjerki jednej ze szkół lubelskich. Trzy niewiasty oskarżone są o to, że w ciągu 12 lat (tak!), systematycznie fałszując szkolne rachunki, pokwitowania i listy wypłat, zagarnęły ponad pół miliona zł. Bezprzykładny cynizm tego procederu polegał na tym, iż znaczna część ukradzionej

gotówki pochodziła z zasiłków i stypendiów dla najbiedniejszych dzieci! Ponieważ nie jedyna to ostatnio sprawa o nadużycia, popelnione przez dyrektora szkoły na Lubelszczyźnie — więc pytanie o skuteczność funkcji kontrolnych w oświacie i dobór kadr oświatowych kierujemy do Jerzego Kołodziejczyka, dyrektora Departamentu Kadr Ministerstwa Oświaty i Wychowania.

pod

Akademia Bialska

Tadeusz Jasiński

— Skoro już będziesz na północy, jedź lepiej do Janowa Podlaskiego, tam na pewno znajdziesz uczelnię na poziomie, nie jest to wprawdzie Akademia Smorgońska, lecz i w tamtejszej studynie coś niecoś uczą konie — zawołał mi przyjaciel chichotliwie. — Ale w Białej?!

DO samej Białej Podlaskiej dotarłem rano, koło ósmej. Na ulicy stało kilku młodzieńców. Zapytani, co myślą o studentach Akademii Wychowania Fizycznego, odpowiadają:

— Jeszcze niedawno były w Białej trzy kluby: „Podlasie”, „Krzna” i Akademicki, no, AZS. Zakłady dogadaly się z Akademią i teraz mamy tu silny Robotniczo-Akademicki Klub Sportowy. Spotkasz pan w nim całą lekkoatletykę, piłki nożną i ręczną, siatkówkę, kosza, strzelectwo, ma być sekcja akrobatyki sportowej dla młodzieży szkolnej.

— To fajne chłopaki. W podnoszeniu ciężarów niektóre studenciaki i nasi to klasa ogólnopolska. Tylko żeby im więcej ważnych spotkań robili, aby mogli pokazać, co potrafią!

Jacy więc są „fajne chłopaki”, jakie są dziewczęta tej uczelni? Czego ich tu się naucza, co potrafią, jakie mają aspiracje, co oprócz uczestnictwa w RAKS-ie robią jeszcze dla miasta?

Grupki studentów widzę przy stolikach obok bufetu — dozywają się. Kilka dziewcząt skupiło się nad zeszytem. Dalej, w salach, słychać głosy, najczęściej męskie. Wykłady. W sali gimnastycznej zarówno w dzień jak i wieczorem, a nawet długo po 22 spotykalem ćwiczących. Dziewczyny o nogach długich niemal po same szyje biegają, by osiągnąć wysokości kosza. Silnie zbudowani chłopcy podnoszą ciężary. Na macie samotna studentka wykonuje sztuczki na wzór jogi. Nie, to nie jest zabawa przed snem. To ciężka praca, ćwiczenia wymagane programem.

Przedtem odwiedzałem jeszcze pokoje jednego z trzech domów akademickich. Nie są bogate, ale schludne, dobrze utrzymane przez młodzież. Spora grupa spotkała się ze mną w pokoju Zarządu Uczelnianego Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. Oprócz przedsiębiorczego przewodniczącego, Piotra Chabroszewskiego z Lublina spotkałem Ewę Kapczyńską z Nasielska, która występuje w zespole tanecznym, rozmawiałem z Waldemarem Nieszczukiem z Lublina — przewodniczącym komisji sportu i turystyki, Krzysztofem Siedleckim z Lublina — przewodniczącym komisji zagranicznej, Marianem Skrajnowskim z Chelma Lubelskiego — członkiem komisji stołówek, Sławomirem Szczerbińskim z Białegostoku, Włodzimierzem Świątkiem z Lublina — przewodniczącym komisji ideowo-politycznej, Mirosławem Waszkiewiczem z Puszczy Białowieskiej, który występuje w kabarecie „Ju-8” i innymi. Reprezentują oni wszystkie lata studiów. Co więc tamtego dnia i wieczoru usłyszałem, możemy uważać za studencki vox populi.

— My tu wzorów nie mamy. Lublin, Kraków je posiadają. To miasto nam niczego dać nie może, sami musimy tworzyć tradycję uczelni.

— Ludzie tu studiujący to ci, którzy właśnie tu chcieli być i traktują filię warszawskiej AWF jako normalną uczelnię. Boli ich jednak, gdy czasem ktoś zapyta: a gdzie ta Biała jest?! Ale gimnastyka jest tu postawiona bardzo wysoko.

— A teoria to może nie?! Pewne mankamenty muszą istnieć, ale gdzie ich nie ma? Krakowska AWF też nie ma własnych znakomitości w niektórych kierunkach, musi je pożyczać z innych uczelni.

— Informatory są lakoniczne. Byli tacy, co myśleli, że na takiej uczelni

wystarczy dobrze fikać koziołki. Szybko jednak pojęli, że szczególnie na dwóch pierwszych latach niektóre przedmioty są nie tylko podobne do tych z innych uczelni, ale mają równie szeroki zakres: filozofia, logika, psychologia, pedagogika, anatomia, biologia, fizjologia, biochemia, biomechanika, języki obce, ekonomia polityczna, podstawy nauk politycznych, a ponadto historia kultury fizycznej, medycyna sportowa oraz wszystkie dyscypliny sportowe. Mamy o wiele więcej zajęć, niż na innych kierunkach. Oprócz tego



Chór AWF w Białej Podlaskiej!

wiele wyjazdów treningowych i spotkań sportowych. A więc nie tylko fikołki, ale prawdziwe i ciężkie studia.

— Niekiedy jesteśmy tak zmęczeni, że nie chce się już niczego, ani życia towarzyskiego, ani spaceru z dziewczyną. Tylko kąpiel i głowa do poduszki.

— Pod kierunkiem doc. dr. Bogdana Turasa członkowie koła naukowego medycyny sportowej badali systematycznie wartość naszego pożywienia. Okazało się, że zawiera ono średnio 2700 kalorii, tymczasem przy naszym wysiłku powinno ich być o wiele więcej, np. dla wyczynowców nawet o 2 tys. więcej. Spośród 340 ankietowanych studentek i studentów filli aż 70 proc. twierdziło, że wyżywienie jest niedostateczne. Wależyć też chcemy o taniej bufet studencki, z cenami podobnymi do tych w lubelskiej Chatce Żaka.

— Bardzo wielu studentów, bo 70 proc., otrzymuje stypendia. Ci, którzy mają 1200 złotych, jakoś ladują, ci co 600 — gorzej. Za wyżywienie płacimy 660, za akademik 120 złotych. A ponadto nasze studia nie są tanie. Trzeba posiadać wiele własnych rzeczy.

— Dobrze, że przestaniemy być fillią, a zostaniemy samodzielną uczelnią. Warszawska AWF traktuje nas bowiem po macoszemu. Na obozowisko do Giżycka każą nam jechać w czerwcu i dopiero na przełomie sierpnia i września, a więc wtedy, gdy woda jest jeszcze albo już zimna. Niektóre z naszych koleżanek nabrały się chorób kobiecych. Niestety lipiec i większą część sierpnia rezerwuje się dla stu-

dentów warszawskiej AWF. Albo sprzęt. Zakład Nauk Bio-medycznych otrzymał niedawno taki, który zużył się moralnie i faktycznie sporo lat temu. To blokuje możliwości zakupu właściwego.

— Jak jesteśmy tu traktowani: jak w szkole średniej, czy jako dorośli ludzie?! Jeszcze dwa lata temu były to raczej internaty, teraz odczuwamy, że mieszkamy już w domach akademickich. Skończyło się szpiegowanie, stróżowanie moralne, jakie z lubością uprawiali niektórzy pracownicy nauki, którzy wtedy zajmowali tu pokoje. Teraz naukowcy otrzymali odpowiednie mieszkania poza uczelnią.

— Całą władzę obecny rektorat oddał w nasze ręce. Rada Mieszkańców sama rozstrzyga sporne sprawy, dba o właściwe zachowanie się koleżanek i kolegów. Jest w tej chwili mniej incydentów, niż dawniej.

— Potrafililiśmy sobie stworzyć dobre warunki pracy i wypoczynku, koleżeńskiego współdziałania.

— Zarząd Uczelniany SZSP, jego prezydium, są liczącym się partnerem na uczelni, zarówno rektora i dziekanów, jak i Komitetu Uczelnianego PZPR. Do Uczelnianej Szkoły Aktywności uczęszcza 70 osób, które następnie mają obowiązek przekazać zdobytą wiedzę kolegom w grupach dziekańskich. Wykłady prowadzi nasi naukowcy, lektorzy KW i KP PZPR. Rady Wojewódzkiej Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej. Tylko 21 proc. naszej młodzieży nie należy do SZSP.

— Kultura? Mimo małej ilości czasu mamy swoje oświecenia. Dyrygent studenckich zespołów, Tadeusz Zmirek, najwięcej chyba serca w to wkłada, aby nasz chór był dobry, a choreograf Ryszard Kapica, kierowniczka klubu studenckiego Krystyna Szeffer, Helena Janiszczak, kierowniczka artystyczna

CZYTELNICY MÓWIA

Czy bardzo pragnie Pan (Pani) naszej wygranej w kwietniowym meczu piłkarskim z Włochami w Rzymie? Czy ewentualna porażka ma dla Państwa stać się źródłem smutku powszechnego? Tym razem takie pytania zadaliśmy kilku mieszkańcom Lublina, ludziom odmiennych profesji.

Bolesław Gajewski
zast. dyr. d/s inwestycji
LFM Rolniczych

Cieszyłbym się z wygranej, to oczywiście, lecz nie traktowałbym z powodu wygranej. Czasami zresztą i porażki ocenia się wysoko... Tak, dość żywo zajmuję się sportem, co roku jeżdżę w góry na narty, bywam często jako kibic na stadionach. Ciekawe, na ogół wśród publiczności spotykam albo emerytów — myślę o ludziach związanych z naszym zakładem — albo młodzież Pokolenia między trzydziścią a pięćdziesiątką, są raczej nieobecni. Ale połowa kadry inżynierskiej interesuje się sportem.

Kazimierz Grześkowiak
piosenkarz i kompozytor

Bardzo chcę wygranej, autentycznie! Ale zarazem bardzo się obawiam, że przegramy. Ostatnio oglądałem jakiegoś klubowa drużyna włoska, w której grało kilku reprezentantów kraju, urządziła klasową drużynę RFN, rozkładając ją w stosunku 5:1. Wiele mogą i nam spuścić manto. Ale żeby z tego powodu miał zapanować smutek powszechny? Czy oprócz i g r z y s k nie mamy ważniejszych spraw na głowie?!

Irena Łowczyńska
historyk, pracownik BWA

W ogóle nie wiem, o jakim mecz chodzi... Wiem jednak, niestety, że „Ruch” przegrał we Francji i odpadł z dalszych rozgrywek. Nie będąc etatowym kibicem, martwię się przecież na zapas, że jakaś nasza drużyna może przegrać. Czy satysfakcjonuje Pana takie babacie zachowanie?

Kazimierz Mazurkiewicz
dyr. przetwórci mięsnej
„Społem” WSS

Chcilibyśmy, żeby nasi wygrali. Prasa włoska twierdzi, że oni są lepsi od nas, a porażkę własnej drużyny z polską podczas mistrzostw świata traktują jako przypadek, czy nawet nieporozumienie. I w ogóle robią dużo szumu wokół sprawy. My nie tak będziemy podchodzić do rzeczy, jak przegramy, dramatu nie będzie. Ale szansę na zwycięstwo mamy, to fakt.

Zygmunt Nestorowicz
prezes Woj. Spółdzielni
Kominiarzy

Wyjątkowo sport traktuję jako szlachetną rywalizację partnerów. Ale chciałbym, aby nasi wygrali, bo wtedy duma narodu rozrywa człowieka, lepiej się człowiek czuje. Podchodzę jednak do sprawy realnie: jak przegramy, to dalej do treningu, pracować, szlifować formę, żeby w przyszłości wypaść lepiej. Szkoda, że naszym sportowcom nie zawsze starcza ambicji. Jeśli chodzi o porażkę „Ruchu” we Francji, to trzeba powiedzieć, że sędzia trochę pomógł tamtym.

Józef Rzak
kier. zakładu krawieckiego nr 13
spółdzielni „Ludowa”

Raczej mi zależy, zresztą powinniśmy wygrać. Nie, przegrana nie będzie dishonorem i powodem do dramatu, bo Włosi to dobra drużyna. Ja oglądam mecze dość rzadko, interesuje się tylko dobrym poziomem, żałuję, że Lubelski nie wyjdzie już na boisko. Bo chyba nie wyjdzie...

Antoni Pieniążek
prawnik

Jak każdy kibic, chcę wygranej naszego zespołu. Tyle w sferze emocji. Racjonalnie podchodząc do sprawy: wygrywa lepszy i na tym stwierdzeniu można by zamknąć kwestię. Dodam przecież, że ewentualna porażka w tym meczu niczego definitywnie nie przesądza, albowiem w naszej grupie jest jeszcze Holandia, z którą będziemy grać zarówno my, jak i Włosi. Czego nie chciałbym? Aby poziom naszego występu w Rzymie zniszczył prestiż, jaki zyskała drużyna polska podczas ostatnich mistrzostw świata.

BYWA tak w życiu, że los zrobi przyjemny wyraz twarzy i wiejską nauczycielkę z polskich nizin postawi nagle wśród bardzo odległych od siebie zagranicznych szczytów górskich, jakby wychylających się z Adriatyku. Jak w bajce o siedmiomilowych butach, ale tym razem podzielowanych legitymacją emerytalną uprawniającą do opłacenia kosztów przejazdu „tam i nazad” rodzimą walutą.

Pewnego razu wybrałam się o świcie i szłam przed siebie zwykłą drogą, potem wyżej ścieżką, by stamtąd podziwiać ruiny tureckiej twierdzy, którą ongiś zbudowano w ustroniu zwanym przez miejscowych „stari grad”. Gdy ukazało się słońce, zaczęłam wracać do osiedla. Góry były tego dnia lillowe, bo zakwitła gęsto „lukawica” — piękne kielichy bez liści tuż przy ziemi — ale tak gęsto, że trawy widać nie było. Nagle, jak to się w górach zdarza, nad osiedlem w dole ukazał się obłok, a ja schodziłam do niego. Wtedy mi się zaśpiewało: „Kto raz się wznosił na szczyty i czołem sięgnął chmur, ten zawsze tęsknić będzie do niebotycznych gór”. Gęsta mgła z tego obłoku zaczęła mi się skraplać na chłodnej twarzy. I z tej mgły usłyszałam polskie „Dzień dobry pani!” Zdumienie bezgraniczne, bo tu nikt nie znał naszego języka. Odpowiedziałam, wpatrując się w nadchodzącego człowieka. Gdysmy się zrównali, pytam:

— Pan mówi po polsku?!
— Tak, trochę. Zaraz po wojnie jako młody chłopak uczyłem się w Zielonej Górze. Ja kochać mówić po polsku.

— I co, skończył pan tę szkołę?
— Nie.

— Dlaczego?
— Proszę pani, mnie tam wszystkim szło dobrze w tej nauce, ale ta wasza ortografia nie do zrozumienia, nie do przyjęcia. Wróciłem.

Nie mogłam mu przecież powiedzieć: „człowieku, mówisz świętą prawdę”, więc powiedziałem tylko, że chińska podobno jeszcze trudniejsza, pospieszyłam w stronę mieszkania mocno zdenerwowana tym, że tu, tak daleko i tak wysoko, dopadła mnie „kochana” ortografia, z którą osobiście nigdy kłopotów nie miałam, ale jako pedagog przez 40 lat mordowałam się przy jej nauczaniu. Spojrzałam na szczyty i pomyślałam sobie, że te stosy zeszytów poprawionych moją ręką mogłyby utworzyć pokaźną górę.

Zaczęłam swoje posłannictwo zaraz po pierwszej wojnie światowej we wsi bardzo zbliżonej do Taplar (E. Redliński — „Konopielka”), tylko dla odmiany otoczonej zwalami wielkich pagórków piaszczystych. Ideałem była mi „Silaczka” Zeromskiego. Inne to były czasy zresztą.

Na pierwszym zebraniu rodzicielskim dowiedziałam się, że taka młoda, to dzieci niczego nie nauczy. Ktoś życzliwszy doradził wziąć w garść „dobrego kija” do pomocy. Rozeszliśmy się minorowo, bo byłam zupełnie innego zdania. Na drugim zebraniu wybuchło oburzenie. Wtedy wchodził do klas pierwszych „Elementarz” M. Falskiego. „Co to za nauka?!” krzykali jeden przez drugiego. „Albo to nas czytać nie uczyli, ale żeby aż tak!!! Dzieci poglupiej z takiego lamentarza”.

Jeden poważny gospodarz postawił zarzut jeszcze lepszy: „Co to pani tak maże czerwonym ółwkiem i skreśla dzieciom to, co dobrze jest napisane? Ja za cara skończyłem dwa oddziały — to może wiedzieć, co i jak. Dziecko napisało (w starszej klasie — uw, aut.) „chodzu, robiu, jedzu, orzu”, a pani pomazała czerwonym i wypisywała „chodza, robią, jedzą orza”. Jak myślitą ludzie, przecie uwózomy, że nasza mowa na „u” jest ślachtetniejszo!!!” (U E. Redlińskiego; chodzi, robio, jedzo, orzo — bo tam jakoś więcej przyswoili sobie tendencję do „o” — gwara białostocka).

Nie przedłużałam zebrania pomyślawszy sobie: niech idą i lepiej niech robią, jedzą, chodzą i jadą, a ja będę musiała głęboko orać tu swój ugór. Nie uciekłam. Przeprowadziłam na nim 25 lat.

Wróciwszy z górskiej przechadzki, przestałam wspominać swoje gorz-

Autorka tej gawędy-opowiadania nie chce ujawnić swego nazwiska. Jest emerytowaną nauczycielką języka polskiego i sądzimy, że jej uwagi na temat polskiej ortografii zainteresują wielu naszych czytelników. Z redakcyjnego podwórka sami wiemy, że tak ortografia jak i gramatyka nie cieszy się specjalnym poważaniem u wielu naszych rodaków.

kie lata trudnej pracy w „Piecharach” (nazwa Taplary pochodzi chyba od „taplania się” w błocie). Chciałam się jakoś uspokoić. Rozmawiać nie mogłam z nikim, nie znając tamtejszego języka. Mowa to twarda, same zbite spółgłoski. Trudno wyodrębnić poszczególne wyrazy, gdy mówią szybko. To tak — jak strumień sypiących się kamyków.

Postanowiłam zobaczyć tę ich „łatwą” pisownię. Pożyczyłam so-

Potem już czytałam gazety, inne książki, zaczęłam rozumieć mówiących do mnie. Byłam parę miesięcy tylko, byłam samoukiem. Oczywiście zdarzały się lapsusy językowe. Idąc raz z małutkimi dziećmi, zrobiłam poważną minę widząc osiołka pasącego się na wzgórzu i powiedziałam do nich: evo muskarac (mężczyzna), a kroczący za mną jakiś osobnik koryguje: „ne, evo magarac” (osioł). Długo się zaśmiewali dorośli słysząc ten mimowolny kawał.

Często przerywałam czytanie, bo nagle przypominały mi się kłopotliwe sprawy szkolne w związku z czterdziestoletnim nauczaniem języka polskiego w szkole najpierw powszechnej, a później podstawowej siedmioklasowej. W „Piecharach”, mając klasy połączone i będąc w nich nauczycielką wszystkich innych przedmiotów (specjalizacji jeszcze nie było), musiałam wciąż przeglądać zeszyty. Sumienie i ciekawość, co dzieci napisały na lekcji „cichej”, — doprowadzały do tzw. „zaprawiania się na śmierć”. Zmieniały się pory roku, okolica na swój sposób była piękna, ale na spacerach czasu nie było. Do najbliższej poczty 17 km przez długi las, rzeczkę bez mostu, o wyboistym dnie, a furmanki drogie. Jesionka na grzbiecie bez podszewki, jeszcze szkolna. Polubiłam więc „piechotę”, bo obok poczty była apteka, falczer, sklepy. Trzeba było chodzić w jedwabnych (b. słabych) pończochach, a „panią” obowiązywał także kapelusz i od niej zależało: z piórkami czy bez. Do obrony przed psami kupiłam sobie trzciniową laskę z ołowianą galką i kieszonkową latarkę. Odwagi mi nie brakowało. W domu przy pracy świeciłam lampę naftową. Stamtąd przynosiłam do szkoły kupioną krede i atrament, a dla siebie ceną zdobyc — książkę do czytania. W szkole zastałam tylko dzienniki i tzw. „księgi główne”, zdezakowowaną małą tablicę, stolik bez krzesła dla nauczyciela i długie ławy „samodziałowe” od ściany do ściany w klitce wynajętej na klasę u gospodarza.

Dzieci nigdy nie były na żadnej wycieczce: ani dalszej, ani bliższej. A w głowę nam kładziono, że Komisja Edukacji Narodowej głosiła, iż „naród tych nauczycieli chwali, co ucząc chodzili, a chodząc nauczali”. Mnie nikt nie chwalił, wymyślania było dużo, ale to już inny temat.

Pewnego razu w maju, na jednej z przerw, przez otwarte okno szkoły słyszę „dyskusję” dwóch chłopców. „Te, mnie nauczyli, żeby uważać, jak jest litera „w”, to przed nią trza pisać „ó” z kreską. A nasza pani widać tego nie wi, bo mi napisała „uwaga” i „fruwa” przez „u” proste”. No więc jest zasada, i jest próbka, i są wyjątki z wyjątkami.

Ja za cara skończyłam cztery oddziały. Pamiętam udrękę pisania tzw. „koryennych słów” ustawionych w alfabetycznym porządku i w „słupkach”. Uczylimy się tego na pamięć, za błąd były „dwójki”, „lapy” i klęczenie lub stanie w kącie, a nawet za drzwiami. Kląnam się Wielkiej Październikowej Rewolucji, że za jednym zamachem wymiotła to wszystko z rosyjskiej ortografii, a dzieci i młodzież uczą dziś czegoś mądrzejszego. A może przekreślił historyczną tradycję? Nikt za nią w tym miejscu nie płacze. Ileż zaoszczędzono lez, atramentu, dwój i podobnych następstw „starinnego języka”.

Gramatyce polskiej też mogłoby się przydać lekkie nowoczesne uporządkowanie. Wiem, że to już było walcowane w słowach i na piśmie, na wszelkich kursach i kurso-kon-

ferencjach, na studiach i na „szczepkach”. Podział rzeczowników na żywotne i niezżywotne budzi ironię, bo rośliny zaliczamy do niezżywotnych, a nieboszczyka trzeba odmienić jako rzeczownik żywotny. Uczniowie po lekcejach gadają: „Ale się we wsi uśmieją, jak powiemy, że rośliny nie są żywe na polskim. Przecie w to nikt nie uwierzy. A co by jadły te uczone, co to umyślały, jakby rośliny były martwe!”

Stare to dzieje i dzisiejsi uczeni na to rady nie mają. A lud będzie sobie i mówił, i pisał: „chłopy robiły, orały, siały”, a „baby tancerzyły, piekli, plakali”. Każdy marzy o skończeniu szkoły, a potem ortografią nikt się nie przejmuje, bo na te ceregiele czasu brakuje dziesiętnym ludziom, którzy tak się spieszą i tak dużo mają do roboty. Kto by tam wertował słowniki w potrzebie?! Toteż roi się od błędów w listach prywatnych (co sobie łatwo wszyscy wybaczą), w papierach urzędowych (przemęczenie biurowe lub biurokratyczne), czasem w prasie (chochlik drukarski), a nawet w szkołach średnich. Ja zaś z doświadczenia wiem, że i po studiach magisterskich też się trafiają te „przeoczenia”. A w latach pięćdziesiątych bieżącego stulecia, kiedy w Lublinie dworzec PKS był jeszcze przy ulicy Lubartowskiej, to długo wisiało w wojewódzkim grodzie hasło, nad tym budynkiem, bardzo dopingujące „młodzież” przez „rz”. Cóż, nie miałam drabiny i kolorowego ołówka. Dotyczy to i sztyldów poniekąd, a ich pisownia „włazi” każdego dnia w oczy stałym przechodniom, a więc utrwalają ortografię. Bruliony uczniom przez nikogo nie oglądane są wylegarnia tego, co tępi biedny polonista. Zawsze on jest bez winy „winowaty”. Faktycznie winna jest ortografia.

Pewnego razu, pracując w siedmioklasówce, gdy oczy zaczęły nawalać nawet przy żarówce — zaproponowałam nauczanie języka polskiego jednej z młodzieńskich pań. Dziewczę polskie, piękne jak malowanie, odpowiada: „Pani mi chce wepchnąć — co najgorsze w szkole”. Zdrętwiałam. „Ja nienawidzę tego przedmiotu”. — Dlaczego? „A przez ortografię!” — Właśnie widzę, że pani z całego grona jest w niej najmocniejsza. „A co innego uczyć się samemu, a co innego nauczyć kogoś”. Zrezyrowałam, ale pomyślałam sobie o biednej mowie polskiej, „takiej rzewnej, takiej śpiewnej, takiej ukochanej”. Ciągnęłam dalej aż do emerytury jeszcze parę ładnych lat. I tak się jakoś dzieje, że jednym bez żadnego trudu przychodzi to poprawne pisanie, innym nie pomagają ani czytanie, ani najróżniejsze podejścia metodyczne. Bywają całe rodziny i takie, i takie. Być może że wpływają rodzice, sami mniej umiejący, którzy swoją powagą wmawiają dziecku, taki czy inny znak pisarski z naszej różnorodności ortograficznej. Jedną z dziewczynek, sierotą, podpisywała swoje imię Józefa przez „u”. Nie pomagały żadne perswazje. Słuchała, zwieszała głowę i znowu było to „u”. Porozmawiałam z nią sam na sam. Dziecko miało przybranych rodziców — starych ludzi, którzy byli dla niej bardzo dobrzy. Ona mi powiada: „Proszę pani, ja będę zawsze tak pisać, bo tego nauczył mnie mój tatuś, on sam tak się nazywa i daje mi zawsze swój chleb, jak idę do szkoły, a sam nie ma co wziąć do pracy, żeby tam zjeść”.

Trudne bywają sprawy ludzkie. Zmiany ortografii są kosztowne, ale się zdarzają. I ja przeżyłam ich kilka. Kiedyś pisało się: Marya, Maryja, Marja i Maria. I jak ładnie, jakoś uroczo i zwiewnie to imię teraz wygląda na papierze.

Jeśli się nie da uprościć tej naszej pisowni gruntownie, to może sposobem „długbankowym”? Ot, co parę lat coś z niej wyrugować z myślą o przyszłych pokoleniach.

A takiej babci od siedmiorga wnucząt można chyba na zakończenie gawędy wnieść pewną propozycję. Oto ona. Potrzebne są młodzieży wszystkie olimpiady przedmiotowe, ale najpilniejsza z nich byłaby wyłącznie olimpiada ortograficzna, z udziałem uczniów różnych szkół: podstawowych, ponadpodstawowych i pomaturalnych.



bie podręcznik do literatury od jednej tamtejszej maturzystki; pomyślałam sobie, że to mi ułatwi czytanie w ich języku, bo będą się trafiały znajome terminy obcego pochodzenia, nazwiska pisarzy, dzieł itd. Znając nieco parę języków słowiańskich uważałam, że dobrze robię i jakoś to pójdzie. Pisownia fonetyczna, a książka pięknie wydana pt. „Sto najwcięż djele swjetska kniżewnosti”. Podobał mi się podręcznik i z tego powodu, że ze wszystkich okresów historycznych i ze wszystkich prawie krajów mających swoją literaturę wybrali dla uczących się tylko stu największych twórców, dając ich dobrze wykonane portrety, zwięzłą biografię, fragment najważniejszego utworu i spis dzieł. Ta liczba — stu — mocno obowiązuje maturzystów. I jeśli komuś obojętny ten przedmiot, to znajomość wymienionego podręcznika wystarczy do cenzusu średniego wykształcenia. Ciekawym podręcznik-drogowskaz ułatwi szukanie w bibliotekach, księgarniach, zbiorach prywatnych. Naszą literaturę reprezentuje Adam Mickiewicz, a tłumaczony fragment to rozmowa Tadeusza z Hrabią w świątyni Dumana o pięknie polskiej przyrody. Podziwiałam w tym podręczniku prostotę ortografii i wspólczułam znajomemu z górskiej przechadzki, który przez gmatwaninę naszej — musiał zrezygnować z nauki w dalekim, chociaż tak słowiańskim kraju. Ich mowa technicznie starościana i jest jakby gwarą ludową wyniesioną na piedestał języka literackiego, ogólnonarodowego.

aż 13 autorów, co umożliwiło dokładne opracowanie poszczególnych okresów. Wydaje mi się jednak, że przy tego typu opracowaniach lepsze rezultaty osiągały zespoły mniejsze. Monografia regionu wymaga nie tylko znajomości szczegółowych procesów historycznych, ale także ogólniejszego spojrzenia na pewne kwestie. Przykładowo: lata 1648—1795, czyli okres upadku Lubelszczyzny, a następnie lekkiego wzniesienia się pod panowaniem Stanisława Augusta, powinien opracować jeden autor. Wyzwoliliby to zapewne szerszą refleksję. Widziałbym też celowość jednolitego potraktowania okresu 1918—1944. Ostatecznie lata okupacji tkwią głęboko w okresie międzywojennym.

H. Zins: — Miałbym nieco odmienne zdanie. W zasadzie autorzy poszczególnych części objęli bardzo znaczny obszar historii. Przynajmniej pokrótce: ogromny obszar archeologii opracował sam profesor Aleksander Gardawski; całe średniowiecze, piastowskie i jagiellońskie, wzięły na warsztat profesor Kazimierz Myśliński; wyjątkowo rozległy

A. Kopruckowiak: — Warto dodać, że w historii XIX wieku monografia wyraźnie eksponuje ośrodek puławski, ówczesne — na przełomie XVIII i XIX w. — centrum kulturowe, przedstawione właśnie na tle ogólniejszych procesów zachodzących na ziemiach polskich. Myślę, że ten sposób widzenia problematyki historycznej owocował obszerniejszym potraktowaniem okresu walk narodowo-wyzwoleńczych, co zresztą umożliwiły wcześniejsze badania analityczne. Szerzej potraktowano lata 1905—1907, ujmując problematykę w aspekcie walk politycznych i rewolucyjnych, przy jednoczesnym jednak nawiązaniu do początków tworzenia się myśli politycznej. Nie bez powodu nachyleno się nad Nałęczowem, miejscem spotkań wielu wybitnych Polaków kształtujących świadomość zbiorową. Także okres 1918—1919 spotkał się z należytą uwagą. Walka o odzyskanie niepodległości, dynamiczny rozwój ruchu robotniczego i związane z tym tworzenie się nowych organów władzy o charakterze ludowym — oto w skrócie problemowy zakres wydarzeń lubelskich geograficznie, lecz ogólnopolskich znaczeniowo. Podczas okupacji Lubelszczyzna przewodziła w

np. wpływ narodowych komplikacji na kształtowanie się gwary.

H. Gawarecki: — A sprawy żydowskie?!

H. Zins: — Niemieckie, szkockie? Tu w XVII wieku istniała duża gmina szkocka.

H. Gawarecki: — Zastanówmy się jednak nad kwestią jeszcze bardziej aktualną: kto będzie odbiorcą „Dziejów Lubelszczyzny”? Osobiście sądzę, że zaciekawią one regionalistów, bardzo zresztą licznych na naszym terenie. Wyobrażam sobie także, że zainteresują szkoły, które z konieczności postęgiwały się dotąd bardzo faktograficznymi materiałami z różnych sesji historycznych, urządzanych od dawna w miastach powiatowych przez PTH.

I. J. Kamiński: — Nakład wynosi zaledwie 2500 egzemplarzy.

Z. Mańkowski: — Sądzę, że książka będzie uważnie studiowana przez historyków z innych ośrodków, posłuży do weryfikacji ogólniejszych ustaleń. Przyczyni się również do podniesienia do brze rozumianego „patriotyzmu lokalnego”.

T. Mencel: — „Dzieje Lubelszczyzny” są wyrazem, użycie tego określenia, pewnego zapotrzebowania społecznego, które datuje się od dwudziestu lat, kiedy to Polskie Towarzystwo Historyczne zaczęło organizować badania regionalne, sesje powiatowe itd. Owszem, nakład jest za niski, myślę, że za parę lat trzeba będzie myśleć o nowym, znowelizowanym, wznowieniu.

I. J. Kamiński: — Przypuszczam, że w połowie roku śladu nie pozostanie z monografii w księgarniach. Mimo że, jak twierdzą tu i ówdzie, historia podobno traci zdolność kształtowania świadomości zbiorowej...

H. Zins: — Nakład został skalkulowany na podstawie porównawczej, odpowiada nakładom podobnych wydawnictw krajowych... Jeśli zaś chodzi o tzw. kryzys historii, to nie ulega wątpliwości, że dotyczy on złej historiografii, a więc książek pisanych w sposób hermetyczny, nieczytelny, dla wąskiego grona krytyków. Swego czasu takie publikacje pojawiały się u nas dość licznie, a popularyzacja wiedzy nosiła piękno czegoś łatwiejszego, mniej naukowego. Obecnie jednak widać wyraźne dążenie do historiografii operującej większym uogólnieniem, dbającej o formę i styl wypowiedzi autorskiej.

A. Kopruckowiak: — „Dzieje Lubelszczyzny” są adresowane do szerokiego ogółu, to nie ulega wątpliwości.

T. Mencel: — Może jest to książka, która przedstawiając znaczącą tradycję regionu, przyniesie satysfakcję społeczeństwu województwa...

Z. Mańkowski: — Faktem pozostaje, że „Dzieje Lubelszczyzny” wyrosły m. in. z potrzeby zastanowienia się, jakie wartości wnosil ten obszar w historię Polski. A te powinny być przedmiotem naszej dumy i zarazem zachętą do dalszej pracy na rzecz regionu.

A. Kopruckowiak: — Warto przecież dodać, że na kartach książki sportretowano wielu ciekawych, barwnych ludzi, a nawet całe środowiska zawodowe, na przykład lekarskie.

I. J. Kamiński: — Słowem, mamy do czynienia z pierwszym całościowym przedstawieniem historii województwa.

H. Zins: — Chciałbym jeszcze wspomnieć, że

Królewska i siermiężna

to może najważniejszy w historii dawnej Polski okres renesansu i reformacji oraz część problematyki kulturalnej XVII i XVIII w. opracował docent Tworek... W pewnym stopniu przychyliam się przeciw do opinii profesora Mencla, mieliśmy bowiem kłopoty z ukonstytuowaniem odpowiedniego zespołu autorskiego. „Dzieje Lubelszczyzny” są dziełem pracowników naukowych Instytutu Historii UMCS, tylko dwóch autorów pochodzi spoza tego środowiska (prof. dr Henryk Maruszczak z Instytutu Geografii UMCS oraz prof. dr Zygmunt Sułowski z KUL). Różnorodność powinności naukowe nie zezwoliły nawet niektórym naszym kolegom na udział w pracy nad monografią. Dlatego właśnie musieliśmy poszatkować nieco okresy XVII i XVIII wieku. Ale w gruncie rzeczy koncepcja autoryzowania większych okresów przez jednego specjalistę została utrzymana... Osobiście wydaję mi się, że łączenie okupacji z dwudziestolecie międzywojennym nie byłoby celowe, badania nad treścią historyczną lat 1939—1944 na Lubelszczyźnie mamy bowiem wystarczająco rozwinięte.

Z. Mańkowski: — Okresy międzywojenny i okupacji niemieckiej nie posiadają jeszcze jednak takich opracowań analitycznych, które mogłyby stać się podstawą szerokiej syntezy. A są to okresy ważkie.

H. Zins: — Czy dobrze się zatem stało, że podjęliśmy wydanie monografii w tym właśnie momencie? Wydawało nam się, że po latach badań szczegółowych i w obliczu wspomnianych rocznic należało zsyntetyzować dotychczasowe dokonania. Oczywiście, istnieją w „Dziejach Lubelszczyzny” białe plamy. Ale to nawet dobrze, że publikacja pokazuje równocześnie nasze możliwości i dalsze potrzeby — o czym mówił docent Mańkowski.

Z. Mańkowski: — Czy książka tylko sumuje stan naszej wiedzy o regionie? Czy na niektórych odcinkach nie udało nam się posunąć tej wiedzy dalej, mimo braku prac analitycznych?!

T. Mencel: — Pierwotnie tom pierwszy miał liczyć 40 arkuszy, prezentując syntetycznie to, co jest już znane, opracowane przez specjalistów. Okazało się, że tego rodzaju rozwiązanie jest niemożliwe. W efekcie wszyscy autorzy musieli przeprowadzić dodatkowe badania źródłowe. Nie ma ani jednego rozdziału, który nie byłby oparty na nowych badaniach, dlatego też monografia rozrosła się do objętości 70,5 arkusza.

H. Zins: — Dyskutując o dziele, jakoś nie zwróciliśmy uwagi, że jest to pierwsze na skalę naukową opracowanie historii województwa akcentujące miejsce Lubelszczyzny w dziejach kraju. Profesor Myśliński na przykład, bardzo nowoczesnie przedstawił Lubelszczyznę jako zwornik kulturowy i gospodarczy Polski w okresie formowania się państwa piastowskiego. Metoda porównawcza okazała się również owocna w ujęciu historii renesansu i reformacji: niczego nie zrozumie się z dziejów Lubelszczyzny bez uświadomienia sobie, jak bardzo tkwiła ona w ogólnym nurcie kulturalnym, artystycznym, religijnym i intelektualnym epoki.

T. Mencel: — To się wyraża w proporcjach publikacji. Znaczenie Lubelszczyzny w kraju gwałtownie wzrasta w czasach renesansu i reformacji i dlatego tak dużo miejsca w monografii poświęcono tym okresom. Upadek tej ziemi od połowy XVII do końca XVIII wieku znow jest potraktowany bardziej węższe. Narastają, oczywiście, pewne wydarzenia — sejmik lubelski w okresie Sejmu Czteroletniego etc. — ale ich reperkusje w skali kraju są dziełem przypadku. Dopiero na początku i w ostatnim ćwierćwieczu XIX wieku, a także przed wybuchem pierwszej wojny światowej Lubelszczyzna znow staje się regionem historycznym, co znajduje wyraz w zwiększonej objętości odpowiednich rozdziałów. Podobne okoliczności miały wpływ na sposób opracowania lat okupacji niemieckiej, kiedy to Lubelszczyzna odgrywała czołową rolę w ruchu oporu.

walce z Niemcami... Te trzy wyeksponowane grupy zagadnień mają swoją wagę nie tylko w dziejach regionu, lecz także w historii kraju, co zostało przedstawione w monografii.

Z. Mańkowski: — W XII tomie „Rocznika Lubelskiego” zaryzykowałem tezę, że jeśli możemy nadać Lubelszczyźnie miano regionu historycznego (na równi np. z Wielkopolską), to przede wszystkim dzięki tej specyficznej roli, jaką odegrała w dziejach najnowszych (rewolucja 1905—1907, wydarzenia z lat 1918—1919 i wreszcie w okresie II wojny światowej). W okresie okupacji hitlerowskiej Lubelszczyzna wpisala do historii kraju szczególne karty i to zarówno w zakresie ruchu oporu jak i martyrologii (pacyfikacje, wysiedlenia, obozy zagłady).

H. Gawarecki: — Stwierdzenia profesora Mencla znajdują doskonale potwierdzenie w zakresie sztuki renesansu, sprezentowanej wyjątkowo szeroko. Oczywiście, z pozycji historyka sztuki można by tu powiedzieć co nieco o pewnym niedosytcie wiadomości o sztuce w okresie wcześniejszym...

A. Kopruckowiak: — W przygotowaniu znajduje się specjalna publikacja poświęcona dziedzicom kultury regionu. Uzupełni ona te obszary, o których wspomniał inżynier Gawarecki.



Fot. L. Demidowski

H. Gawarecki: — Jako historycy sztuki jesteśmy, mimo wszystko, w tym szczęśliwym położeniu, że katalogi zabytków województwa lubelskiego ukazują się już z krótkimi syntezami poszczególnych terenów.

T. Mencel: — „Dzieje Lubelszczyzny” nie są wolne od braków. Ta książka jest swoistą fotografią zainteresowań i dorobku historyków lubelskich, szczególnie zaś — Instytutu Historii UMCS. Owe zainteresowania były dotąd skierowane głównie na zagadnienia społeczne, gospodarcze, częściowo — polityczne. Jeśli chodzi o historię sztuki, to rzeczywiście można odczuwać pewien niedosyt, związany z opracowaniem najwcześniejszych okresów oraz XIX i XX w. Wynika to ze stanu naszej wiedzy, na UMCS nie istnieje katedra historii sztuki...

I. J. Kamiński: — A czy być powinna?

Wszyscy: — Oczywiście!

Z. Mańkowski: — Do indeksu spraw nie zbadanych chciałbym dorzucić stosunki narodowościowe na Lubelszczyźnie i problem świadomości. Językoznawcy są już dalej od nas, zbadali

„Dzieje Lubelszczyzny” jako fakt edytorski są jednym z przejawów poparcia, jakie ze strony władz wojewódzkich i miejskich, politycznych i administracyjnych, odczuwa od pewnego czasu Lubelskie Towarzystwo Naukowe.

A. Kopruckowiak: — Zainteresowanie władz umożliwi także ukazywanie się „Rocznika Lubelskiego”, którego XVII tom jest już w druku. Ten klimat społecznej życzliwości stwarza naszemu środowisku dużą szansę dalszego rozwoju. Pamiętajmy, że jest to środowisko dopiero kształtujące własną tradycję.

T. Mencel: — Byłoby ciekawe i pouczające wysłuchanie opinii czytelników „Kamery” o książce, na którą spojrzeliśmy właśnie z pozycji zespołu autorskiego, a więc z pozycji wygodnej i kłopotliwej zarazem.

I. J. Kamiński: — Dziękuję panom za udział w interesującej dyskusji. A czytelników „Kamery” zapraszam do wypowiedzi na temat „Dziejów Lubelszczyzny”.

Musty swoją Ojczyznę
pachnącą różami i chlebem
wśród nakryć własnym sercem
jak gdyby drugim niebem

JAN POCEK

ZAPOLE

Nr 1 (25)

6 IV 1975

ROK IX

KORRESPONDENCYJNY KLUB MŁODYCH PISARZY—OŚRODEK LUBELSKI PRZY ZW ZSMW

WALCZYLI O „BIJOCEK”

Poniżej zamieszczamy wiersze nagrodzone w „Prywatnym Turnieju Jednego Wiersza” o nagrodę „bijocek” (piękna ludowa stylizowana drewniana łyżka, rozprowadzana przez Cepelię). Inicjatorem i fundatorem nagrody Turnieju, który odbył się w trakcie II Lubelskiej Biesiady Literackiej był kol. dr Marian Kawalko. Znając jego kulinarne obsesje, nie dziwimy się formie nagrody. Równocześnie gratulujemy zwycięzcy Turnieju, któremu po burzliwych naradach Jury przyznało pięknego „bijocka”, czyniąc niedwuznaczne aluzje, co do jego zastosowania przez żonę posiadacza.

Stanisław Zurek

MRÓWKA KTÓRA SIĘ W NAS PROWADZI DO MROWISKA

Główna nagroda — „bijocek”

rozebrani dokładnie do ostatniego
włókna gdy jeszcze w żyłach prowadzą ścieżki
mrówek krwi do mrowiska życia
gdy jeszcze na przegubie ręki tętni
zegarek mrówek wskazujący drzewa
mrówek i ptaki mrówek gdy jeszcze koło ust
krąży słodkie słowo mrówka pożądania
zanim wydepczemy ścieżkę do mrowiska
dźwigając słomkę słońca na stos
zanim myśl stanie się
niewyraźną logiką funkcjonującego
mechanizmu mrowiska z hierarchią władzy
i podziałem ról zanim jeszcze o już
rozebrani dokładnie siadamy nadzry
na swoje mrowiska które nas obżerają
nasza mrówka prowadzi nas poprzez mrowisko

Jan Henryk Cichosz

Kończ sen
wejdź przebudzona
z odrobiną nocy
ukrytą pod powieką
i zatańcz zmartwychwstała

popatrz

Kończ sen
słońce przelato się przez krawędź
rozdmuchaj dymy
z granic zmiernych i świtu
i powiedz kiedy będziemy młodzi

horyzontu

Kończ sen
moje oczy są puste
wypełnij je
a w dłonie stygnące
włóż tylko jedną łyżę

Kończ sen
kościółki stoją rozdzwonione
Madonna wyszła na spacer
Zastap ją
organista zagra Bacha
pójde posłucham

Kończ sen
opowiem Ci legendę
o człowieku którego nie było
zapłacisz obecnością

Kończ sen — — — — —



Rys. D. Opolaki

Leonard Górski

Nie zakrywaj rzeczy
klatką słowa
zanurz dłoń jak we włosach
pod światło przesypaną imionami
ludzi
czasu
(wiedną w spojrzeńcach
kwiaty z twardych dzbanów)

Myślisz że można tak
nagle usłyszeć kopiec
brzemion stałych
jabłkami

Nawet płomień świecy
zapada w sen
nie można kończyć nie znając
strony koła
rzecz jest konstelacją
głów zadartych choćby
i nad wodami włodawskich jezior

Ryszard Kornacki

HISTORIA TO CZY EPOPEJA STOŁU

ta wielką rzecz odwiecznego stołu
zaczęto mordem biednego jagnięcia
nad którym okrzyk wyrastał zwycięski
poparty głosem ostrzonego noża

tak też odchodzi czyjeś krótkie życie
w tłumie sztandarów w brodzie wernyhory
i pod widelcem ugina kolana
w żółdkach żółcia trawione dogłębnie

historia to czy tylko zmyślny wariant
już się sos leje krwawy szlak zaznacza
z boku chleb niosą do ust kainowych
i cud się dzieje na placach talerzy

w zgiełku oręża i w barwach nakrycia
w bohaterstwie zębów podniesionych buław
nad serwetą stołu nad głowami bólu
pochód zaczyna głodny demon brzucha

Halina Górka

NA MAJOWEJ ŁĄCE

wypatrzyłam w polnym kwieciu
twoje oczy roześmiane
i natarły mi policzki
i zapiekły słońca żarem

Jeszcze wcześniej
niż przypuszczam

I układam nysy wótek
i przepłatom
kaczeńcami
ważne (czuję)

I różowię się i błędną
i zakwitam pełną różą bo wiem
że zawitasz wcześniej

splywam deszczem z chmur zakrytych
powiekami

NOTUJEMY

Lubelski Ośrodek KKMP, który w ub. r. obchodził dziesięciolecie swojej działalności, był inicjatorem zorganizowanej wspólnie z ZW ZSMW oraz Wojewódzkim Domem Kultury w Lublinie II Lubelskiej Biesiady Literackiej, pod hasłem „O integrację lubelskiego środowiska młodolubelskiego”, która odbyła się w powiecie włodawskim. Poprzedziły ją spotkania młodych twórców w placówkach kulturalno-oświatowych powiatu, organizowane również w trakcie Biesiady. Uczestnicy Biesiady mieli możliwość — obok prezentowania własnej twórczości oraz podsumowania 10-letniej działalności Ośrodka — zapoznania się z problemami kulturalnymi powiatu, jego folklorem oraz tradycjami ludowymi. Gościli m. in. w Klubie Szam Włodawskiego PDK, który zaprezentował ciekawy program artystyczno-poetycki. Zwiedzili Muzeum im. J. I. Kraszewskiego w Romanowie, zasobne w zbiory po wielkim niszczeniu. Byli gośćmi Klubu Rolnika w Stawkach, koło Włodawy, gdzie samorodny zespół amatorski zaprezentował barwne widowisko — „Wesele Różanieckie”, oparte na tradycjach ludowych obrzędów. Uczestnicy Biesiady wiele uwagi poświęcili problemom rodowodu literackiego młodych twórców lubelskich, działalności twórców ludowych oraz tym formom pracy, które integrują działalność lubelskiego środowiska młodolubelskiego. Wskazano m. in. na konieczność szerszej prezentacji dorobku młodych twórców, w oparciu o różne formy upowszechniania, co wiąże się z zapotrzebowaniem na właściwą pracę krytyków i recenzentów w Lubelskiem. Wydany został Almanach Lubelskiego Ośrodka KKMP przy ZW ZSMW, drukiem WDK w Lublinie. Stanowi on wybór wierszy 19 autorów Ośrodka a także określona forma realizacji zamówienia społecznego. Większość jego egzemplarzy trafiła bowiem do placówek k.o., gdzie członkowie Lubelskiego Ośrodka odbywają spotkania.

Kol. kol. Krystyna Makula-Trochimiuk oraz Ryszard Kornacki podpisali umowy z WL na kolejne tomiki poetyckie. Zbigniew Strzałkowski — na zbiór opowiadań o tematyce współczesnej pt. „Krajobraz z tęczą”.

W najbliższym (?) czasie ukaże się debiutancki tomik poezji Mariana Kawalko — „Matnia”. Tymczasem czytaliśmy już wystawiane mu recenzje. Prawdziwa matnia.

Swojej kolejki oczekują w WL również „Almanach poetycki” Koła Młodych przy Lubelskim Oddziale ZLP.

Rzeszowski Ośrodek KKMP „Gwoźnica” obchodzi w bieżącym roku XV-lecie swojej działalności. Z tej okazji odbędzie się w kwietniu wyjazdowe posiedzenie Krajowej Rady KKMP w Rzeszowie. Kolejny numer miesięcznika „Prometej” organu Rady Wojewódzkiej FSZMP w Rzeszowie poświęcony będzie omówieniu dotychczasowej działalności „Gwoźnicy”, prezentacji utworów jej członków oraz fragmentów nagrodzonych prac — pokłosa czterech ogólnopolskich konkursów literackich na opowiadanie — o Bieszczadzki Laur, które corocznie organizuje „Gwoźnica”. W bieżącym roku ukaże się również III Almanach poezji rzeszowskiej „Gwoźnica”.

W opracowaniu i przygotowaniu Jerzego Pleśnarowicza ukazała się antologia wierszy związanych tematycznie z Rzeszowszczyzną pt. „Wiersze z Rzeszowskiego”, obejmująca autorów od średniowiecza po dzień dzisiejszy. W antologii przeznaczony dla Polonii oraz placówek k.o. naliczyliśmy 21 autorów z „Gwoźnicy”. Świetna reklama.

Rzeszowscy działacze KKMP byli współorganizatorami wystawy szkła artystycznego i grafiki Józefa Gawlika otwartej w styczniu i lutym br. w pomieszczeniach działu k.o. uzdrowiska Iwoniec. Józef Gawlik jest jednym z 5 artystów polskich, który prezentował swoje wyroby szklane na Wystawie XXX-lecie PRL w Moskwie. Jako jedyny w kraju posiada własną pracownię szkła artystycznego w Iwoniczu.

Z inicjatywy Mazowieckiego Ośrodka KKMP odbył się w Warszawie I Sejmik Kulturalny poświęcony frazce. Omówiono twórczość popularnego J. I. Sztudyingera i zaprezentowano próby w tej trudnej sztuce literackiej członków KKMP. Impreza cieszyła się dużym zainteresowaniem.

Warszawska Rada Wojewódzka FSZMP i Mazowiecki Ośrodek KKMP ogłosiły dwa konkursy. 1) Ogólnopolski Konkurs otwarty na mikroopowiadanie o tematyce obywatelskiej. Warunki: objętość do 3 stron maszynopisu, ilość nadesłanych prac w trzech egzemplarzach dowolna, każdy zestaw opatrzone innym godłem. Termin nadsyłania — do 30.IV. br. Nagrody: I — 5 000 zł, II — 3 000 zł, III — 1 500 zł oraz trzy wyróżnienia po 500 zł. 2) IX Ogólnopolski Konkurs Poetycki „Lira Mazowiecka”, w którym można wziąć udział autorzy nie posiadający debiutu książkowego, ani podpisanej umowy wydawniczej. Można nadsyłać dowolną ilość zestawów tematycznych po trzy wiersze, każdy opatrzone innym godłem, z załączoną oddzielnie kopertą zawierającą nazwisko i adres autora w terminie do 31.V. br. Nagrody: I — 3 000 zł, II — 2 000 zł, III — 1 000 zł oraz trzy wyróżnienia po 500 zł. Prace na oba konkursy należy nadsyłać pod adresem: Mazowiecki Ośrodek KKMP przy ZW ZSMW, Warszawa, ul. Jasna 24/26 z doniskiem: 1) „Konkurs literacki” i 2) „Lira Mazowiecka”.

JeJ

ZAPOLE NR 1 (25)
opracował Jerzy Jedziniak

W TRZYDZIESTOLECIU Polski Ludowej powstało 13 parków narodowych, ostatni z nich na Lubelszczyźnie jako Roztoczański Park Narodowy. Jest to duże osiągnięcie władz i społeczeństwa. Nie zwalnia nas to przecież z obowiązku zwrócenia uwagi na konieczność utworzenia na naszym terenie drugiego parku narodowego. Perspektywiczne plany ochrony środowiska w Polsce przewidują organizację w najbliższych latach co najmniej kilku parków narodowych i około 20 parków krajobrazowych. Koncepcja utworzenia jednego z parków w Lubelskim Zagłębiu Węglowym posiada największe uzasadnienie. Chodzi tu o obszary jezior, bagien i podmokłych lasów na Pojezierzu Łęczyńsko-Włodawskim. Ponieważ wchodzi ono do regionu Polesia Lubelskiego i jest przedłużeniem właściwego Polesia w Związku Radzieckim, proponowanemu parkowi nadano nazwę Zachodnio-Poleski Park Narodowy.

Projekt tego parku i jego wstępne granice narysował D. Fijałkowski w kilku publikacjach już w roku 1960, szczegółowe uzasadnienie podając w 1971 r. Lubelskie Tow. Geograficzne zorganizowało pod kierunkiem prof. T. Wilgata sesję naukową dla ochrony Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego. Lubelskie Towarzystwo Naukowe podjęło w 1970 r.



PROJEKTOWANY ZACHODNIO-POLESKI PARK NARODOWY

- tereny pod ochroną rezerwową
- tereny pod ochroną przed melioracją

uchwałę zalecającą i popierającą utworzenie parku narodowego. Prezydium Woj. Rady Narodowej w Lublinie uchwałą nr 55 z dnia 12 V 1970 r. wyłączyło znaczną część terenów w tym rejonie spod melioracji, a w kompleksowym programie ochrony środowiska województwa lubelskiego przewidziało utworzenie na tych terenach parku narodowego.

Projektowany park zlokalizowano koło Wytyczna pod Włodawą. Obejmuje on dwa istniejące rezerwaty (Durne Bagno, Jezioro Moszne) i dwa projektowane (Jez. Długie i Łowiszów). Durne Bagno jest rezerwatem częściowym, utworzonym w r. 1968 na powierzchni 80 ha. Rezerwat Jezioro Mosz-

O PARK NARODOWY W LUBELSKIM ZAGŁĘBIU WĘGLOWYM

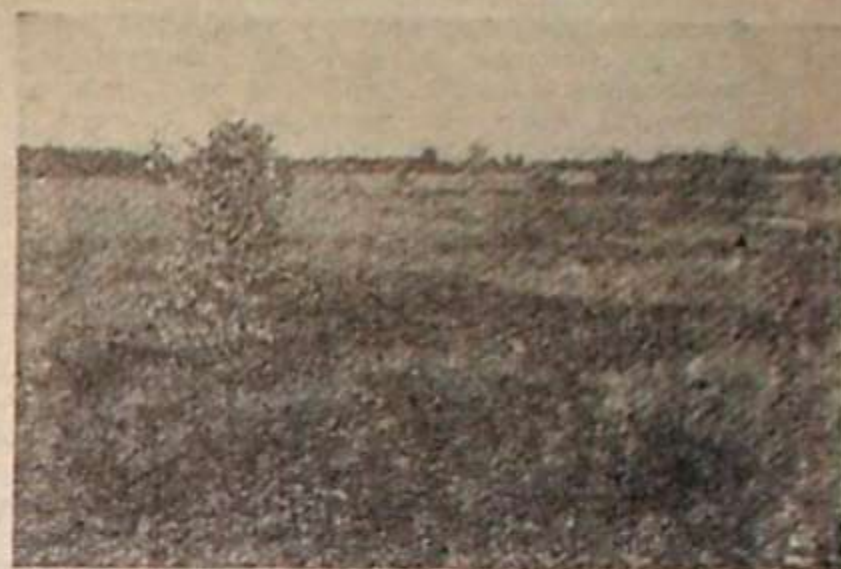
**Dominik Fijałkowski
Henryk Iwanowski**

ne jest również rezerwatem częściowym, istnieje od r. 1971 na powierzchni 205,16 ha. Projektowany rezerwat Jezioro Długie obejmuje około 400 ha, a Łowiszów około 500 ha. Łączna powierzchnia projektowanego parku wynosiłaby razem ze strefą ochronną około 3000 ha. Są to w 70 proc. prawie całkowicie nieużytki gospodarcze, występujące na torfowiskach wododziałowych oraz w 30 proc. ubogie lasy i zarośla — najczęściej bory, u których przyrost roczny masy drzewnej nie przekracza 2 m sześć/h.

Nieużyteczność gospodarcza jest tu jednak sówicie nagrodzona niezwykle bogactwem flory i fauny. Cały obszar jest jakby miniaturą europejskiej tundry i laso-tundry wysuniętej najdalej w Europie na południowy-zachód. Duże nagromadzenie gatunków północnych roślin nie jest w tej skali nigdzie poza tym w Polsce spotykane, a obecność wielu roślin strefy atlantyckiej stwarza jedyną w swoim rodzaju osobliwość na skalę europejską. Na tym samym terenie spotkać można bowiem zarówno zwarte zarośla brzozy niskiej z udziałem wierzby lapońskiej i borówkolistnej — charakterystyczne dla tundry krzaczastej, jak i duże nagromadzenie gatunków atlantyckich (np. wąkrota zwyczajna — rośliczka pośrednia, przygielka brunatna, aldrowanda pęcherzykowata, wywłócznik skrętoległy, sit sztywny). Nie brak tu też osobliwych gatunków fauny: cietrzewi, żmij, zaskrońców, żółwia błotnego, sikory czarnogłowej, żurawia zwyczajnego etc, etc.

W projektowanym parku stwierdzono łącznie ponad 60 gatunków roślin naczyniowych i 85 zespołów roślinnych — często rzadkich w Europie lub mających duże znaczenie w gospodarce łąkowej i leśnej.

Projekt utworzenia Zachodnio-Poleskiego Parku Narodowego ma więc najpoważniejszą w kraju motywację naukową. Ważne uzasadnienia tkwią również w zagrożeniu tego terenu ze strony przemysłu węglowego. Lubelskie Zagłębie Węglowe obejmuje bowiem przynajmniej zachodnie partie projektowanego parku. Stąd wypływa jak najszybsza koniecz-



Fragment torfowiska przejściowego nad Jezioro Moszno

ność zabezpieczenia wiadomego obszaru (patrz mapa) przed skutkami nie tylko związanymi z kopalnictwem węgla, ale też ze wzmożoną gospodarką rolną i leśną oraz nadmierną turystyką i rekreacją.

Celem opracowania dotychczasowego stanu przyrodniczego terenów projektowanego Parku, kilkunastu pracowników naukowych z Uniwersytetu MCS i Akademii Rolniczej w Lublinie prowadzi intensywne badania. Część z nich finansowana jest przez Komitet Ochrony Przyrody i jej Zasiobów PAN. Prowadzi się też badania nad sukcesją licznych zespołów roślinnych oraz nad zmiennością roślin dzikich. Obiekt nie może być przedwcześnie zdewastowany i wymaga jak najszybszego zabezpieczenia przed melioracją, a potem przed wpływami przemysłu węglowego — jako park narodowy. Byłby to pierwszy w Polsce park ochrony przede wszystkim terenów bagiennych. Wokół tego parku należałoby utworzyć park krajobrazowy, w którym na szeroka skalę można byłoby rozwinąć ruch turystyczny i wypoczynkowo-rekreacyjny dla górników Lubelskiego Zagłębia Węglowego.

Akademia Bialska

Dokończenie ze str. 3

się wychodzić jej potrzebom naprzeciw. Nie ma w AWF nauczyciela, który by nie otrzymał odpowiedniego mieszkania. Młodzież tej uczelni dużo robi dla miasta, np. prowadzi gimnastykę dla kobiet w czasie przerw pracy w Zakładach Przemysłu Włókiennego „Białena”. Studenci są instruktorami na koloniach zdrowotnych dzieci z wadami postawy, w tym samym celu jeżdżą do odległych szkół, odbywają tam praktyki. Będą z nich świetni nauczyciele i instruktorzy wychowania fizycznego, organizatorzy sobotnio-niedzielnego wypoczynku oraz życia sportowego w szkolnictwie. W RAKS-ie i wśród jego kibiców istnieje pełne zblizenie i zrozumienie między studentami a robotnikami. Obie strony dorastają do

siebie: uczelnia do miasta, miasto do uczelni.

— Nasze miasto, podobnie jak Zamość, posiada tradycje akademickie — kontynuuje swoją myśl Anna Ciesielczuk, która z zawodu jest historyczką. — Uniwersytet Jagielloński powołał tu swoją kolonię, po dzisiejszemu filię już w 1628 roku. Założycielem Akademii Bialskiej był profesor Krzysztof Ciborowicz-Wilski. Od 1777 roku uczelnia należała do Akademii Wileńskiej, a w roku 1818 zaborca przekształcił ją w szkołę wydziałową, a więc obniżył jej rangę.

Z rozmowy z prorektorem doc. dr. Antonim Olszowskim dowiadujemy się, że kierunek wychowania fizycznego miała już dawna WSN w tym mieście. Ale teraz na tym kierunku jest piętnaście ra-

zy więcej słuchaczy, bo już 1270, w tym 580 na studiach dziennych. Kadra składa się z ponad 180 osób. Wśród nich znajduje się 83 nauczycieli akademickich, dziewięciu samodzielnych pracowników naukowych, zakończono trzy prace habilitacyjne i trzy przewody doktorskie, sześć takich przewodów ostatnio otwarto.

— Nasz typ specjalności — mówi doc. Olszowski — jest nauką młodą. Tylko Akademia w Poznaniu i Krakowie liczą ponad 50 lat. Ale i tak nasza filia, a od jesieni już samodzielna Wyższa Szkoła Wychowania Fizycznego, posiada kadre jakościowo zbliżoną do takich uczelni, jak krakowska, wrocławska, katowicka, czy gdańska. W najbliższych dziesięciu latach zainwestujemy w rozbudowę i wyposażenie bialskiej WSWF 314 milionów złotych. Wtedy Wojewódzka Federacja Sportu latem organizować tu będzie swoje centrum szkoleniowe. Przystaniemy jeździć do Puław, bo kryte baseny będą na miejscu. W Polsce trzeba 32.000 nauczycieli i instruktorów wychowania fizycznego. Perspektywy rozwojowe naszej uczelni są więc wyjątkowo duże. Wrastamy w to miasto i ono nas coraz mądrzej wykorzystuje i akceptuje. Mamy ambicję dobrze przygotować przyszłych nauczycieli, przede wszystkim dla województwa lubelskiego, białostockiego i rzeszowskiego. Na początku tego roku akademickiego wreczaliśmy pierwszym 42 magistrów dyplomy. Mamy sygnały, że sprawdzają się coraz lepiej. Często są pierwszymi wyspecjalizowanymi nauczycielami wychowania fizycznego w szkołach, do których trafiają.

Tadeusz Jasiński

GARMONDEM

NIEKTÓRZY są zdania że po przeprowadzeniu w ostatnich dwóch latach generalnych podwyżek płac sprawa została zakończona. Tymczasem to nieprawda. Jeżeli przedsiębiorstwo dzięki zwiększeniu wydajności pracy zaoszczędzi jeden czy kilka etatów, 25 proc. tej zaoszczędzonej sumy pozostaje na awansie i przeszerogowaniu. Dla odmiany za każdego pracownika, przyjętego ponad średnioroczny poziom zatrudnienia, trzeba zapłacić swoisty podatek w wysokości 20 tys. i to z funduszu plac. Tak więc dzięki lepszej organizacji pracy i zwiększeniu jej wydajności można stale podwyższać płace. Rzecz w tym, aby przedsiębiorstwa w dziedzinie zatrudnienia przeszły z polityki ekstensywnej do intensywnej. I abyśmy my sami awans lub przeszerogowanie uważali nie za fakt występujący automatycznie, ale za wynik lepszej pracy nas samych.

JOD

Kamień str. 7

DWA lata temu tzw. Raport rzymski obwieszczył, że świat bezwzględnie zmierza ku zagładzie i nagle stało się dziwnie obojętne, w jakich my tam butach dojrzymy. Od tego czasu jednak Raport spotkał się z wszechstronną krytyką, zagłada okazała się już nie taka pewna, więc i problem buta nabrał rumieńców, w tym także zagadnienie buta polskiego. Szczególnie optymistycznych wypieków nabrało to zagadnienie ostatnio na łamach „Zołnierza Wolności” z dnia 6 marca br. w artykule „Dobre buty z... dobrych rąk” Ryszarda Wichrowskiego. Autor zwiędził był Chelmskie Zakłady Obuwia i wyniósł przekonanie, iż skóry włodawskie są słynne, polcorfam doskonałe, jakość butów najwyższa, obuwie modne, eleganckie i rozchwytywane w całej Europie.

Nie tak dawno jeszcze chelmską fabrykę bito za jakość produkcji, o czym każdy mógł przeczytać w prasie codziennej. Jest więc faktem krępującym lubelskie serca, że ostatnio ta fabryka, choć uruchomiona niedawno i w terenie bez tradycji przemysłowo-obuwniczych, bije pod względem jakości, a przede wszystkim wzornictwa, bliźniacze zakłady starsze: w Słupsku i Gnieźnie. Wszystko to jednak rozgrywa się na szerszym tle kłopotów, z którymi wadzi się niejeden krajowy producent butów. Michał Mostieniczuk, dyrektor Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Obuwem w Lublinie, poinformował mnie, że przeszło 16 procent towaru obuwniczego (194366 par), jakie przedsiębiorstwo otrzymało w ubiegłym roku z przemysłu kluczowego, trzeba było przeklasyfikować bądź zwrócić producentowi do naprawy. Najczęstsze wady: przepuszczone ściągacze, różnica koloru wierzchołów, niedoklejone spody, uszkodzenia mechaniczne.

Jeśli nawet w fabryce chelmskiej tu i ówdzie ujawniają się ogólniejsze kłopoty branżowe, o czym później, to przede wszystkim jednak ujawnia się fakt podstawowy — że inwestycja ta była realizowana mądrze w ramach istniejących pomysłów na polski przemysł obuwniczy. Po prostu powiedziano sobie: równocześnie z dużym zakładem trzeba budować tzw. część socjalną i bazę szkoleniową. Zaraz po uruchomieniu fabryki kolejno poczęto oddawać do użytku: trzy awaryjne bloki mieszkalne dla sprowadzonej kadry, przyzakładowe technikum i zasadniczą szkołę przemysłu skórzanego (warsztaty powstały jeszcze przed uruchomieniem produkcji i tam szkolono robotnika), żłobek, przedszkole, na koniec stołówkę. O takim sposobie wznoszenia inwestycji warto jeszcze pisać, albowiem nie zawsze jest on regułą.

Inż. Waldemar Świtka, główny specjalista do spraw produkcji otrzymał w tym roku list pochwalny od Edwarda Gierka za doskonałe wyniki w pracy. Inż. Świtka, jak wielu innych młodych inżynierów, do Chelma został ściągnięty bezpośrednio po studiach obuwniczych w radomskiej WSInż.

Przyszwy i spody polskiego buta

Maciej Podgórny

Powiada: „Každy młody człowiek idzie, gdzie jest mieszkanie. Ponadto wbrew pozorom w nowym zakładzie, który dopiero się dociera, można się więcej nauczyć. I szybciej się wybić. Ustabilizować sytuację życiową. Z żoną i dzieckiem zajmujemy M-4, z mieszkania jestem zadowolony. Więc zamiana Radomia na Chelm nie boli”.

Fabryka została uruchomiona w czerwcu 1973 roku. Dochodzą do pełnej zdolności produkcyjnej bardzo szybko — 12 miesięcy (w Gnieźnie na przykład — 20 miesięcy). Zakład jest duży, zatrudnia 4450 osób, w tym 80 procent kobiet. Średnia wieku załogi — 24 lata. Z tej drobnej statystyki widać, jaki się tutaj wylania problem.

Większość dziewczyn i kobiet pracujących w produkcji jest dowożona z okolicznych wiosek w promieniu 45 km (umowa z PKS). Pierwsza zmiana rozpoczyna pracę o godzinie 5.45 i jeśli taka wieś musi jeszcze dojść do przystanku to dwa lub trzy kilometry, to wstaje około 4.00 rano, wraca z roboty późnym popołudniem, a tu rodzic lub mąż do obrządku gospodarki gna, wczesnym rankiem zaś znowu trzeba wstawać. Jeżeli nawet nie ma normalnej zimy, dróg nie zawieje i jest niewielka absencja w pracy, to i tak ludzie są zmęczeni, a przy tym mimo przeszkolenia nie posiadają robotniczo-przemysłowych nawyków, które się po prostu dziedziczy. Nic dziwnego, że w roku ubiegłym odeszły z zakładu 1502 osoby (w tym 933 kobiety, głównie dojeżdżające ze wsi). Wprawdzie przyjęto 2338 osób, lecz w ogromnej większości trzeba je było od początku szkolić.

Przeciętny but liczy około 30 elementów, a jego wyprodukowanie wymaga 200—300 operacji. Niech



PRZEZ siedem dni byłem w Budapeszcie gościem odpowiednika naszego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Jego węgierska nazwa brzmi: Tudományos Ismeretterjesztő Társulat. To nie jest takie trudne do wymówienia w porównaniu z wieloma innymi słowami, które potem obijały mi się o uszy. Zwłaszcza że Węgrzy mówią szybko i w taki sposób, iż wyrazy całego zdania zlewają się w jeden i trzeba dobrze znać ten język, aby się nie pogubić, biorąc przedrostek jednego słowa za końcówkę poprzedniego lub odwrotnie, co czasem powoduje śmieszne nieporozumienia.

Potwierdziła to przydzielony mi na czas całego pobytu tłumacz i przewodnik — Bogdan Pliszek, student V roku elektroniki Politechniki Budapeszteńskiej. Wygrał kiedyś egzamin konkursowy w Warszawie i otrzymał stypendium państwowe na studia właśnie w Budapeszcie. Będzie jednym z bardzo nielicznych inżynierów elektroników polskich, znających doskonale techniczny język węgierski. A właśnie rozpoczęła się w naszym kraju montaż komputera RIAD, którego części produkowane są we wszystkich krajach RWPG.

Od niego też dowiaduję się później, jak to jest ze studentami na Węgrzech — z wyjątkiem cudzoziemców, korzystających ze stypendiów swoich krajów. Otóż studenci węgierscy podzieleni są na pięć grup, zależnie od dochodu rocznego na głowę rodziny. Dwie najwyższe grupy, gdy dochód przekracza 24 tysięcy forintów, w ogóle nie otrzymują ani stypendiów, ani miejsc w domach akademickich. Natomiast dwie najniższe kategorie nie płacą za miejsca w akademikach.



Jednym z nielicznych zabytków ocalałych całkowicie w Szekesfehervár jest kościół cystersów z XVIII w.

Premie z kasy uczelni otrzymuje się tylko wtedy, jeżeli przeciętna roczna egzaminów przekracza 3,5. Natomiast jeżeli jest niższa, trzeba wnieść opłaty za naukę, tym wyższe, im niższa przeciętna. Pierwszy egzamin z każdego przedmiotu nie kosztuje, za drugi płaci się 25 forintów, za trzeci — 50, za czwarty — 100. Można jeszcze zdawać po raz piąty, ale taki egzamin dziekański kosztuje aż tysiąc forintów. Nie zdziwiłem się więc, że w tej sytuacji ponad 80 proc. zdających egzamin wstępny kończy studia, nawet te najtrudniejsze, w przepisowym czasie. Rozstrzygnięcie problemu, który system jest lepszy — polski czy węgierski — pozostawiam czytelnikom.

Z lotniska jedziemy do Budy polskim fiatem 125p. To nie żadna grzeczność pod moim adresem, a po prostu służbowy samochód węgierskiego TWP. Naszych fiatów jest zresztą bardzo dużo i gdy później nad brzegiem Dunaju koło jedno-przęsłowego mostu Elżbiety, dumy tamtejszych budowniczych, wśród setek innych neonów widzę wielki, dwukolorowy neon naszego samochodu, jest mi bardzo przyjemnie. Chociaż najwięcej jest trabantów i żigull, ale te marki mają za sobą dłuższy okres działania na tamtejszym rynku. Trafiają się również warszawy, nawet te starszego typu. W sumie ruch samochodowy jest znacznie bardziej intensywny niż w Warszawie, a przecież sezon turystyczny jeszcze się nie rozpoczął.

Buduje się więc w Budapeszcie dziesiątki przejeżdżających, gdzie tylko możliwe rozszerza ulice, wprowadza ruch jednokierunkowy, instaluje trzy- i czterofazową instalację świetlną, naprawia jezdnie. Ale to tylko półśrodki. Centra zarówno Budy jak i Pesztu zabudowane są dość gęsto wielkimi, solidnymi kamienicami z końca XIX i początku XX wieku, ulic więc nie da się rozepchać. I dlatego na trzy zmiany buduje się drugą linię metra. Po jej zakończeniu ruch samochodowy w owych centrach ma być znacznie ograniczony. Natomiast na przedmieściach bez litości burzy się całe kwartale starej zabudowy, stawiając nowoczesne osiedla. Wydało mi się, że w tych osiedlach jest mniej zieleni niż u nas, ale za to więcej sklepów, placów zabaw, żłobków i przedszkoli.

Przyjechałem jako prelegent naszego TWP, który ma mówić na temat „Polska 2000”. Pozornie można sobie na ten temat nieco pofantazjować, w rzeczywistości przez cały tydzień przed wyjazdem obkuwałem się odpowiednią literaturą, z której kilka najważniejszych pozycji zabrałem potem ze sobą.

NA WĘGRACH

Pierwsze spotkanie, nazajutrz po przyjeździe, następuje w redakcji tygodnika „Figyelo”, takiego odpowiednika naszego „Życia gospodarczego”. Gdy najpierw zaczynam kreślić obraz dzisiejszej Polski, uważając to za konieczny wstęp, red. Garamvolgyi Istvan pokazuje mi półkę, gdzie m. in. leżą roczniki statystyczne wszystkich krajów socjalistycznych. Najbardziej natomiast interesuje go, w jakim stopniu na naszej gospodarce odbiły się zmiany cen światowych na różne surowce. Bo na węgierskiej dość mocno — kraj jest ubogi w surowce, handel zagraniczny stanowił dotychczas jedno z głównych źródeł dochodu narodowego, a teraz sytuacja jest znacznie trudniejsza.

Po dłuższej wymianie zdań dochodzimy do wspólnego wniosku, że dzięki różnym zasobom, zwłaszcza węgla kamiennego i miedzi, a także dzięki przemysłowi okrętowemu gospodarka polska mniej odczuwa światowy kryzys. Tu rozmowa zbacza na Lubelskie Zagłębie Węglowe. Moi rozmówcy nie jeszcze o tym nie słyszeli, mam więc osobistą satysfakcję, że mogę mówić nie tylko o planach, ale i o rzeczywistości. Węgla mamy na samej Lubelszczyźnie 40 razy więcej niż całe Węgry.

Dla odmiany okazuje się, że reforma gospodarki węgierskiej jest bardziej zaawansowana niż u nas, podjęto ją zresztą już w 1968 roku. Przedsiębiorstwa mają znacznie większą samodzielność, nawet w sprawach inwestycji i zatrudnienia.

pracownik będzie zmęczony lub niedoświadczony i tylko jedną operację wykona źle, na przykład niedokładnie zszyje... Dlatego trzeba się spieszyć z budową hotelu robotniczego na ponad 300 osób (już rozpoczęta) i następnego na 600 osób (etap rozmów z władzami miejskimi, które w tym przypadku stają przed perspektywą najwyższego — dziesięciopiętrowego — budynku w Chełmie). I dlatego w końcu śmieszko okrutnie budowa parterowego właściwie budyneczku internatu szkoły, który już teraz wygląda, jakby projektant zdążył wymyślić tylko parter, a następnie spieszył się na brydża i postanowił rzecz na tym zakończyć.

Dla szkolenia wykwalifikowanego robotnika-obuwnika istnieje przy chełmskiej fabryce piękna szkoła i doskonale warsztaty, czym w całości włada dyrektor Tadeusz Persz, wysokiej klasy specjalista, autor kilku fachowych książek, ciągle zresztą poszerzający i rozwijający swoją placówkę o nowe formy kształcenia (dwuletnie studium pomaturalne, roczny kurs obuwniczy). Istnieje duża nowoczesna fabryka. O zaplecze mieszkalnym dla przeciętnego pracownika nie pomyślano dostatecznie wcześniej. Taka jest prawda, zamazująca nieco mój początkowy optymizm inwestycyjny. Jeżeli ma się myśleć o stabilizowaniu załogi oraz idącej za tym poprawie jakości produkcji, hotele robotnicze i dwupiętrowy (tak) internat wyglądają na zadanie pierwszoplanowe. Innego wyjścia jakoś nie widać.

Po fabryce oprowadzał mnie mgr Jerzy Adamczyk, kierownik wydziału manipulacji wierzchów, entuzjasta sprawy obuwniczej, który choć humanista z profesji, cierpliwie wyuczył się fachu obuwniczego (i dokształca się nadal), zaczynając od stanowiska prostego referenta, a kończąc na stanowisku szefa jednego z najbardziej operatywnych wydziałów fabryki. I teraz Jerzy Adamczyk wtajemnicza mnie w arkana buta, w rozmaite przyszy i podpodeszwy, krupony i przYGONOWE, a czyni to bardzo cierpliwie, bom laik, choć również humanista.

Dla porządku odnotowuję, że zakład świeci czystością, czego mogłaby mu pozazdrościć niejedna fabryka mięsa. Przede wszystkim jednak uderza kompleksowość zakładu. Tu się nie tylko robi buty ze skóry i tworzyw, tu się również produkuje sznurowadła, opakowania kartonowe, oprzyrządowanie do maszyn i tu się przede wszystkim but wymyśla. Jest to jakby Ford obuwniczy, na polską skalę.

Projektant i konstruktor, inspirowani przez Centralne Laboratorium Przemysłu Skórzanego, znające nowinki euromody, myślą, jaki by tutaj but sprokurować. A kiedy już wymyślą, musi być wykonana dokumentacja szablonowa z wyszczególnieniem surowca, a nawet kolorystyki. Teraz projekt idzie na oddział doświadczalny, gdzie staje się

autentycznym butem, a raczej jego wzorem. Wówczas w zakładzie powołuje się trzy komisje: pasowności (czy bucik jest wygodny dla nogi), technologicznej i rzeczoznawców (czy bucik nadaje się do produkcji seryjnej), ocen (czy bucik należy zatwierdzić bądź odrzucić). Potrzeba 200-300 wzorów, żeby z tego powstała kolekcja, z którą można już wyjść do handlu jako propozycja. W lutym zakład musi mieć przygotowaną kolekcję na jesień, bo w marcu na Targach Poznańskich o jesieni będzie mowa. Dopiero po zawarciu kontraktów zakład przystępuje do produkcji. Produkcji towarzyszy, oczywiście, kontrola techniczna i but wędruje do hurtowni przedsiębiorstwa handlowego, gdzie dokonuje się oceny jakościowej nadesłanej partii. Jeżeli zakład produkcyjny nie zgadza się z reklamacją przedsiębiorstwa handlowego, sprawa wędruje do rzeczoznawcy, a następnie, najczęściej, do Branżowej Komisji Rzeczoznawców, a tymczasem reklamowane partie obuwia, miast trafić do tatusa czy mamusi na rynek, zalegają miesiącami magazyny hurtowni, bo reklamuje się próbki, ale wstrzymuje całą partię, co oczywiście nawet dla mnie. (Magazyny WPHOB w Lublinie zalega przeciętnie 60 000 par bucików). Całą zaś na przykład produkcję zimową fabryka musi dostarczyć hurtowni do 15 listopada.

Ja się w tym ogromnym mechanizmie gubię jak dziecko małe i piszę o nim infantylnie, tym bardziej że gdy pytam producenta, na co narzeka, to słyszę odpowiedź, że na handel. „Tylko niech pan o tym nie pisze, bo oni mają trudności i my mamy trudności, więc nie ma sensu zadrażniać i tak trudnej sytuacji”. Gdy pytam handel, to mówią, że producent winien. „Tylko niech pan o tym nie pisze, bo oni i my” ... I tak dalej. Przede wszystkim jednak — o jakie tu winy i trudności idzie? Czemu można by przeciwdziałać?

W Chełmskich Zakładach Obuwia rozmawiałem otwarcie z kilkoma fachowcami, w tym z dyrektorem ds. spraw produkcji, wytrawnym obuwnikiem, wieloletnim dyrektorem „Radoskóru”, Tadeuszem Siewką. Słyszano się najrozmaitsze opinie od tych ludzi:

— Nie ma w kraju wysokiej jakości zamków błyskawicznych, zatrasków, kopyt (mają za dużą tolerancję w wielkości), są kłopoty z niemi, z klejami topliwymi nietoksycznymi. Wychodzi but o jakości niedoskonałej, biją producenta obuwia, a nie producenta zamków czy kopyt.

— Polcorfam, stosowany na wierzchy, robiony na wzór amerykańskiego corfamu, też jeszcze nie najdoskonalszy, bo brak naszemu przemysłowi produkcyjnych doświadczeń w tym względzie. A klient narzeka, iż mu się nogi pocią, po prostu pocią. Sprowadzamy teraz z Japonii tworzywo skóropodobne pod nazwą clarino, ma doskonale właściwości higroskopijne, choć nie zastąpi naturalnej skóry. Ale clarino to już jest jakieś wyjście.

— Nasz styrogum nieco za miękki i obessy szybko się ściera, klient psioczy, ale co ma robić? Spody poliuretanowe importowane z Włoch są najlepsze na świecie, już produkujemy na tych spodach, a niedługo przyjdą angielskie wtryskarki i sami będziemy takie spody wytwarzali.

— But już dawno przestał być zwyczajną ochroną nogi, a stał się elementem mody, estetyki. I to głównie producent powinien brać pod uwagę. Zakłady w Polsce są może za duże, serie produkcyjne za długie, wyprzedzenia (od pomysłu do klienta) za wielkie. Trudno mówić o modzie, krótkich seriach i finezji wykonania przy wielkich kombinatach obuwniczych, gdzie, jak w Chełmie, jest jedenaście linii produkcyjnych. Na świecie ten przemysł przestawił się na zakłady mniejsze. Tego typu produkcji nie można rozliczać od ilości, gdy idzie o wydajność na konkretnej taśmie.

— U nas nie można w wyniku sprawdzenia rynku (że na przykład zimę praktycznie nie ma i określony typ obuwia nie idzie) zaniechać jakiejś produkcji. Umowy zostały podpisane. Kropka.

No cóż! Surowcowej sytuacji nie zmienimy z dnia na dzień i ratowanie się importem nie jest tutaj czymś wstydliwym. Zakładów też nie zmniejszymy, bo niby jak? Może to być najwyżej wskazówka dla przyszłych pomysłów inwestycyjnych. Należałoby może uwagę zwrócić na niepotrzebne ogniwa w procesie: od pomysłu do klienta. Bo faktycznie, zanim polski but trafi na polską nogę, zdarza się, iż przestaje „po drodze” być po prostu modny, i jeśli nawet można wybaczyć nieco gorszą jakość surowca, to żadna eleganka nie wybaczy buta przestarzałego, po prostu uda się do komisji.

Czy trzeba aż tylu komisji w zakładzie do zatwierdzenia wzoru, skoro projektant fabryczny powinien znać możliwości produkcyjne swojej fabryki i uwzględnić je w trakcie projektowania? Skrócenie cyklu przygotowania wzoru już automatycznie daje obuwiu modniejsze, choćby producent musiał wyprzedzić kontrakt handlowy o trzy kwartały (jak Francuzi to robią, że u nich takie wyprzedzenie trwa tylko miesiąc?). Ponadto — czy nie za wiele tych kontroli techniczno-jakościowych? Szczególnie mizerny pomysł to odbiór jakościowy przez handlowca w jego hurtowni, a nie na miejscu u producenta. Po co wozić wybrakowane partie z powrotem do fabryki w celu naprawy? Po co zawałać magazyny hurtowni handlowych? Przy zbyt małej elastyczności systemu produkcyjno-kontraktowego można by jeszcze mówić o zbyt małej elastyczności systemu likwidacji na rynku butów nieatrakcyjnych, czyli o elastyczności przecen, ale tu już wkracamy w sprawę handlu, a to doprawdy temat na odrębny artykuł. Są tu optymistyczne nowinki — pierwszy w kraju samoobsługowy sklep z obuwiem w Kraśniku Lubelskim...

GRZECH

Jerzy Dostatni

W planowaniu ministerstwo daje tylko sugestie, plan ustala samo przedsiębiorstwo. Premie dla załogi są uzależnione przede wszystkim od wzrostu wydajności pracy i ograniczenia zatrudnienia, a także zwiększenia produkcji wyrobów — ale tylko tych, które są szczególnie poszukiwane na rynku. Gdy przedsiębiorstwo źle pracuje, wszyscy dyrektorzy muszą zmienić pracę, w nowym miejscu czeka ich najwyższe stanowisko kierownika działu czy wydziału. Średnie zarobki w przemyśle wynoszą 2,5 do 3 tys. forintów miesięcznie, czyli 2800—3300 złotych.

Przy pięknej, wiosennej pogodzie jedziemy w stronę Balatonu. Autostrada bez zaru. Jakież 20 km przed jeziorem skręcamy nieco na północ do stolicy komitatu Fejér — 70-tysięcznego miasta Székesfehérvár. Wita nas największa w kraju huta aluminium oraz hale fabryki telewizorów (także kolorowych) i radiodiodników, a także maszyn matematycznych. I zupełnie nowe zakłady metalurgiczne, produkujące milion ton stali rocznie. Ziemia doskonała, zbioru na poziomie światowym (np. pszenicy 41,3 q/ha), w rełkach prywatnych tylko działki przyzgodowe. Rolnictwo to 11 gospodarstw państwowych (przeciętna powierzchnia 5470 ha) i prawie 100 spółdzielni produkcyjnych (średnia powierzchnia 2715 ha).

Ale najciekawsze to przeszłość miasta. Starorzyska osada Herculia w IX wieku była osadą słowiańską pod nazwą Białogród „Królew-

ski. Na jednym z placów starego miasta mozaiką kamienną wyznaczono na bruku kształt bazyliki, w której koronował się pierwszy król węgierski, Istvan (Stefan) I Święty. Kilka set metrów dalej na wielkim zieleńcu resztki murów z pierwszych lat istnienia państwa węgierskiego, oryginalne i dorabiane. Tu przecież przez trzy prawie wieki koronowali się królowie, tu była ich stolica. Miejscowe muzeum istnieje równo 200 lat, tu także powstał pierwszy teatr, grający sztuki w języku węgierskim. Ostatnia wojna okrutnie obeszła się z miastem. Przez 110 dni w pobliżu przebiegała linia frontu, nie więc dziwnego, że 75 proc. zabytkowej zabudowy uległo zniszczeniu. Nie wszystko jeszcze zdołano odbudować.

Prelekcja w klubie TIT gromadzi ponad 30 osób, miejscowych działaczy gospodarczo-społecznych. Słuchają z zacięciem. Potem przy czarnej kawie przeszło godzinna dyskusja, tu dla odmiany głównie o dniu dzisiejszym naszego kraju, mniej o planach przyszłościowych. Na zakończenie otrzymują medal pamiątkowy miasta i zaproszenie na ponowne spotkanie, a także — w imię starej przyjaźni polsko-węgierskiej — najlepsze życzenia dla rodziny, kolegów w pracy i czytelników „Kamery”.

Dwa spotkania z aktywnym Tudományos Ismeretterjesztő Társulat mają charakter kameralny, uprzyjemniony małymi filiżaneczkami gęstej jak smoła kawy i samorodnym Tokajem. Organizacja tego Towarzystwa jest bardzo podobna jak naszego TWP, podobne są metody pracy. Największym zainteresowaniem cieszą się sprawy ekonomiczne, następnie nauki przyrodnicze i pedagogika. Łączne w terenie kursy szkolenia kadr kierowniczych, od brygadzystów do kierowników działów, trwają trzy lata, po 90 godzin wykładów i seminariów rocznie. Ostatnio duży nacisk kładzie się na szkolenie rolnicze, gdyż około 25 proc. zatrudnio-

nych tu ludzi nie posiada jeszcze odpowiednich kwalifikacji. Coraz więcej robotników uczęszcza na kursy języków obcych, co wiąże się zarówno z coraz liczniejszymi wyjazdami specjalistów węgierskich do innych krajów, jak również przyjazdem specjalistów z innych krajów. Jest to konsekwencją zakupu coraz liczniejszych licencji, a także kooperacji, zwłaszcza z krajami zgrupowanymi w RWPG.

Pani dr Medgyes Belaneval, kierowniczka sekcji nauk społecznych, interesuje się zwłaszcza wymianą kulturalną, narzekając przy okazji, że wciąż jest ona zbyt mała. Prawda, że duża trudność stanowi bariera językowa, nasze języki są trudne dla obu stron. Przy okazji oglądam świeżo wydane na Węgrzech książki: „Faraona” Prusa i album prof. K. Michalowskiego o jego odkryciach archeologicznych w Egipcie, a także wydaną przed dwoma laty przez Towarzystwo 85-stronicową



Székesfehérvár — kaplica św. Anny z XV w. tuż obok miejsca, gdzie koronowano królów

książeczkę pt. „Kopernikusz emlékére”. Zgodnie jednak dochodzimy do wniosku, że mimo wszystko częstotliwość i szerokość wzajemnych kontaktów wciąż jeszcze nie odpowiada ani wzajemnym pragnieniom, ani żywej w obu narodach tradycji przyjaźni.

W pierwsze wolne popołudnie wzięta w Ośrodku Kultury Polskiej w Budapeszcie. Wiele już o nim napisano w naszej prasie, więc tylko kilka telegraficznych informacji: w roku ub. ośrodek zorganizował na Węgrzech 300 imprez o Polsce; dyrektorem jest p. Władysław Kobiątko, przed 20 laty pracownik Komitetu Powiatowego PZPR w Lublinie; gazety polskie przychodzą z czterodniowym opóźnieniem, co trudno zrozumieć, jeżeli samolot z Warszawy do Budapesztu leci w 65 minut; sklep z polską sztuką ludową nie jest najlepiej zaopatrzony, co nie przynosi chwały naszej Cepelii.

W ambasadzie polskiej zajmują się bardzo różnymi sprawami. Przed kilku dniami zjawiała się młoda Polka, błagając o odesłanie do kraju. W Warszawie poznała przystojnego mężczyznę, który przedstawił się jako dyrektor pewnego przedsiębiorstwa węgierskiego. Po trzytygodniowej znajomości pojechała do Budapesztu. Tam okazało się, że nie jest ani Węgrem, ani dyrektorem, mieszka w małym pokójku na poddaszu i przepija równo połowę miesięcznego zarobku...

Tuż przed powrotem do Warszawy w poczekalni lotniska obok mnie zagrała się inna scena. Dość zażywnemu rodakowi towarzyszyła młoda Węgierka, mówiąca dość dobrze po polsku. Gdy już doszli do porozumienia, że jemu należą się jeszcze dwa całusy, jegomościowi wyrwało się: bo moja żona...

Szlakiem teatromana

Maria Bechcyc-Rudnicka

O WSZEM, powiedziałam „nie samym teatrem” (p. „Kamena” nr 3), ale czyż mogę żyć całkiem bez teatru? Zwłaszcza w Paryżu, wśród mizdrzących się reklam różnorodnych widowisk. Wprawdzie nie ma powodu do szczególnych przechwałek, w ciągu bez mała miesiąca dostalam się zaledwie na pięć spektakli, niemniej była to mini-kampania teatralna, rzecz by wolno — jeśli weźmie się pod uwagę trudy zdobywania biletów, wszystkie chyłone telefony, ambaras obfitości, wahania i rezygnacje, finały przedstawień zatrute myślą o kłopotliwym powrocie do hotelowego *home*...

Rozpoczęłam akcję, łatwo się domyślić, nazajutrz po przyjeździe. A więc, podobnie do poprzedniego roku, najpierw wizyta w *Centre Français de Théâtre*, czyli na wstępie coś nieskomplikowanego i miłego.

Wynurzywszy się z mej ulubionej *bouche de métro Opéra*, skręcając na prawo z taką dezynwolturą, jak gdybym całe życie nie tylko wałęsała się po *Boulevard des Italiens* w godzinach popołudniowych. Właśnie zbliża się godzina 15. Wiem, koło tego kiosku, najezzonego wszelakim niewyparzoną słowem drukowanym, przętnej jezdni bez pośpiechu pod samym nosem drgających nerwowo samochodów; nie wyrwę się z szeregu do pędu, póki jestem w ich zasięgu. Jeszcze niewiele kroków i oto *rue Helder*, kontrastowo zaciszna, trochę snobistyczna.

Niepomiernie szerokie, rozłożyste, staroświeckie stopnie prowadzą wprost z chodnika, przez małą portiernię, do otwartego na nią wielkiego hallu, z kolei supernowoczesnego.

Biuro *Centre'u* na razie zamknięte. Pograżona w jednym z *fauteuils-„cra-pauds”* (osobliwa to ropucha purpurowa z nadeccia!), czytuję niedbale *France Soir*, przyglądając się zarazem nadchodzącym interesantom, którzy ze swej strony obrzucają poprzedników raczej niechętnym spojrzeniem.

Madame Novy, wyprzedzając prezesa,

p. Paul Louis Mignon, cieszy się nieklamana sympatią moich rodaków żądnych paryskich wrażeń teatralnych; mówi nienagannie po polsku i dopisuje jej niezawodny dobry humor. Jest naturalna jak jej siwiejące niefarbowane włosy.

Przyszedłam pierwsza. Rychło zostają wciągnięta do kartoteki, po czym otrzymuję upragnioną kartę polecającą. Ale to nie wszystko, chodzi o kilka ocen bieżącego repertuaru, o parę drobnych rad. Pani Novy wertuje z lubością *l'Officiel des spectacles*. Uśmiecha się do jednego, drugiego, trzeciego... dziesiątego tytułu — „O, na to warto pójść!”

— „*Timon d'Athènes*”? Oczywiście, oczywiście! Tylko uprzedzam, tam siedzi się na workach.

— Nie szkodzi, proszę pani, w Lublinie siadywałam na snopku słomy. Albo i na gołej podłodze.

— Doprawdy?

— Serio. Podczas nocnych czuwań. W postawie Buddy.

— Ciekawe. I z bosymi nogami?

— No, nie wszyscy, nie wszyscy.

Ożywioną gawędę przerywają raz po raz telefony. *Centre* musi rezerwować bilety dla gości rządu Republiki Francuskiej. Takim to dobrze. Mnie wypadnie zdać się na własną przedsiębiorczość.

Niepostrzeżenie upłynęła mała godzinka. Wychodząc z gabinetu Madame Novy komponuję na twarzy wyraz grzesznicy bez winy (przecie — telefonny!). Niepotrzebnie. Poczekalnia jest pusta. Niecierpliwe piemię ci turyści.

Ma się rozumieć zapaliłam się natychmiast do „*Tymona Ateńczyka*”. Zgodnie z przyjętą przeze mnie zasadą preferencji dla poranków (v. „*Kamena*” nr 2), projektuję sobie tę ucztę na najbliższą sobotę. Będzie to bodaj dwunasty spektakl po premierze. „*Bilety — drogą korespondencyjną lub w kasie teatru*”. Korespondencyjną? Czeka! tatko, latka, pocztowcy akurat strajkują. Zapada decyzja: pójdzcie się po pro-

stu do kasy przed spektaklem. Ryzyko? Zobaczymy.

Nadeszła owa wielka sobota. Spędzam ranek „w domu” na lekturze, oszczędzając energię w przewidywaniu walki o miejsce na „workach” *Bouffes du Nord*. Właściwie można by schrupać rogalka i wyjść dopiero o czternastej — spektakl zaczyna się o 13. Ale wychodzę o pół do pierwszej, bo z szeroko oszklonego pokoju patronne widać „cyrkulację” hotelową, niech myślą utrapieni *petits bourgeois*, że idę na porządny *déjeuner* do restauracji.

Naprawdę zaś kieruję swe kroki ku poczciwemu *Petit St. Martin*, gdzie przyjazny patron nie dolicza mi pięćdziesięciu centymów za konsumpcję przy stoliku. Tu bez żenady zapisuję herbata kupione po drodze ciastko.

Swojsko, przytulnie. Co chwila otwierają się drzwi. Wchodzi stary *habitué*, ścisła dłoń patrona, wymieniają ostatnie wiadomości polityczne, bytowe, rodzinne. Jakiś desperacki hazard-

izman wszechpotężny. Rzeczywiście dają mi bilet bez kolejki!.. bez zniżki.

Albowiem w tym teatrze ceny są w ośrobie przystępne: 15 i 20 fra (30-40 dolarów), gdzie indziej siozala przeważnie 10 franków (przelicznik, państwo na złotówki sami tu! ówdzie znacznie wyżej), że tuż nie powiem o cenie *extra-sensacji*. Dostaje za 30 fra najlepsze miejsce w środkowej *coroelle* na I piętrze (rzecz prosta, lepszemu stad widoczność niż *biutabie* i *biutra* drugiego). Nie bede siedziała na worku dla widzów, worki są dla aktorów. Ułoży się te w kolo i nakryje barwna tkanina do biesiady *bozama* Tymona Heba. Biała biała, edy strajnowany sporoduje ucztę szyszac z *przewrotnych* *przywiasioł*.

Jest druga, mam całą godzinę oczekiwania. Najlepiej spędzę ją w bistro, dokąd się wchodzi z zakrąglonego naroznika tegoż gmachu.

— *Vous désirez, madame?*

Moje *désyderaty* są skromne: mały czarna (1 fr. 50). Na marmurowym blacie sąsiedniego, blisko przysuniętego stolika pojawiły się talerze z apetycznym daniem mięsnym. Spożywa je



Tak wygląda kłóskarka francuska

dzista uparcie szturcha amerykańską machinę do gry. Kto na tym wygrywa? Niewątpliwie właściciel (proszę sobie wyobrazić, widziałam ostatnio taką *joke-box* w krakowskim Klubie SDP na Szczepańskiej, lecz zdaje się, krakowianie są mniej skłonni do hazardu).

Ale czas na mnie zejść do podziemia. Kierunek *Gare de l'Est-Porte de la Villette*. Wysiadam z wagonika na stacji *Stalingrad*. Oj, za wcześnie! Trzeba było jechać do napowietrznej *la Chapelle*.

Prawda, lecz o tym dowiedziałam się z formularza do zamówień, który wręczono mi w sekretariacie teatru, kiedy dotarłam do niego po długim marszu w niepokojącej dzielnicy.

Prezentuję kartę polecającą *Centre Français de Théâtre* niby jakowyś ta-

dwóch młodzieńców, żywo dyskutując o sprawach teatralnych. Czy nie ktoś z obsady „*Tymona*”? Istotnie, okazało się wkrótce, że ten czarny to był Malijczyk Malick Fagayogo, grający nieco blaznowatego filozofa-dydyktika, *Ape-mantusa*. Pomyśleć, mogłam siedzieć obok samego Petera Brooka! Cóż, kiedy tym razem nie przyszedł na swój spektakl i na rozmowy z widzami.

Wnętrze teatru *Bouffes du Nord*, dzieje i przebieg spektaklu „*Timon d'Athènes*” opisał szczegółowo w jednym ze styczniowych numerów „*Zycia Literackiego*” Roman Sztydlowski. Po nim „*Przekrój*” zamieścił również dokładny opis. Nie sądzę przecie, by czytelnikom „*Kamena*”, którzy przeczyli przypadkiem owe opisy, nie należała się bodaj zwięzła relacja moich

Oto dalszy ciąg wspomnień globtrotera, Jerzego F. Jest już roku 1945. Nasz bohater wyszedł z obozu hitlerowskiego w Dachau. Co czyni teraz?

PAMIĘTNIK GLOBTROTERA (5)

O BUDZIŁEM się z bólem głowy i pragnieniem. Po wodę należało iść z wiadrem do studni, która była stąd kawał drogi. Wiedziałem ją, jak szliśmy do burdelu.

Złapałem za wiadro i ruszyłem do drzwi. Drzwi były zamknięte, a Staśka nie było.

Zacząłem szukać po pokoju czegoś do picia, w dużej sekatce butli był jakiś napój, spróbowałem, dobry, wypilem kilka szklanek. Po chwili ból głowy przestał mi dokuczać, nabrałem apetytu, otworzyłem konserwę, w której była jakaś sałatka, zjadłem ją ze smakiem, bez chleba.

Po posiłku zrzuciłem z siebie ubranie, a założyłem pasiaki, buty i tak w tym przebraniu czekałem na powrót Staśki. Postanowiłem wyruszyć w dalszą drogę.

Późnym wieczorem zrobił się za drzwiami ruch, drzwi się otworzyły i wszedł Stasiak w towarzystwie dwóch amerykańskich wojskowych. Wszyscy byli na porządnym fleku. Stasiak odkorkował kilka butelek i zaczęło się pijaństwo. W tym stanie rzeczy nie mogłem rozmówić się ze Staśkiem i musiałem pozostać do dnia następnego. Amerykanie opuścili mieszkanie już prawie nad ranem.

Było popołudnie, kiedy mogłem rzeczowo porozmawiać ze Staśkiem w sprawie podróży do Ameryki. Ten jednak odparł mi, że na to jest jeszcze czas i że trzeba jeszcze kilka miesięcy poczekać.

Dłużej już się nie zastanawiałem, podałem Stasiakowi rękę i powiedziałem „Zegnaj Stasiu!”. Stasiak starał się mnie zatrzymać, lecz ja twardo trzymałem się swego postanowienia.

Na rozstanie wypiliśmy jeszcze po kielichu. Stasiak znalazł skórzaną dużą teczkę, w którą wpakował wczorajsze ubranie, buty, sweter, kilka ko-

szul, kilka konserw, butelkę koniaku, papierosy i wręczył mi dziesięć dolarów. Na pożegnanie dodał: „Jak się rozmyślisz, to wiesz, gdzie mnie szukać”.

Najważniejsze, że miałem przy sobie doskonałe mapy Niemiec i Europy. Teraz mogłem śmiało podróżować. W swoich pasiakach, z teczką przewieszoną przez ramię opuszczałem Monachium.

Droga była asfaltowa i równa, słońce pomału zaczęło już zachodzić. Tu i ówdzie przy drodze spotykałem leje po bombach i wraki samochodów. Byłem wypoczęty, a na świecie było ciepło. Od czasu do czasu przejeżdżały samochody wojskowe, lecz ani jeden nie chciał się zatrzymać. Czulem, że cały czas przyjdzie mi wędrować pieszo. Do takich wędrowek zdążyłem się już przyzwyczaić.

Było jeszcze dość widno, kiedy dotarłem do wioski położonej przy samej drodze.

Wybrałem pierwsze z kolei zabudowanie i wszedłem na podwórze. Jakiś mężczyzna klęczał przy motorze BMW i coś przy nim majstrował; zbliżyłem się do niego i powiedziałem „*Guten Abend*”. Spojrzył na mnie i odpowiedział po polsku: „*Dobry wieczór*”. To był Polak, który wraz z innymi pracował w tym gospodarstwie. Zaraz zawołał całą rodzinę i zaczęliśmy się witać. Przygotowano stół i jedzenie, a także i fiaskę bimbrowa, niedawno zrobionego polskim sposobem.

Przyszli również i Niemcy z sąsiedztwa, którzy uprzednio nie robili krzywdy Polakom. Najbardziej raził Niemców mój wygląd, tj. pasiasty ubiór, z którym się nie rozstawałem. Wiedzieli tutaj

wszyscy, że jestem z obozu zagłady i każdy z tych ludzi starał się w jakiś sposób przyjść mi z pomocą.

Przez dwa dni odpoczywałem w tej gościnnej wsi. Tutaj dowiedziałem się od jednego Polaka o polskim wojsku we Włoszech i możliwości wyjazdu do Anglii. Twardo postanowiłem więc wędrować do granicy włoskiej.

Jeden z Polaków przewiózł mnie motorem spory kawał, a stamtąd ruszyłem dalej. Wszędzie po drodze spotykałem rodaków i wszędzie byłem gościnnie przyjmowany. Tak upływały dni w mojej marszrutce. Czasami udawało mi się przejechać kawałek drogi samochodem lub motocyklem. Coraz bliżej docierałem do granicy austriackiej. W Niemczech jeden ze spotkanych Polaków poinformował mnie, że w Innsbrucku formują ludzi do Legii Cudzoziemskiej, a później wysyłają gdzieś do Afryki, dlatego postanowiłem tam się udać. Innsbruck był położony niedaleko granicy włoskiej.

W Innsbrucku faktycznie formowano jakieś wojsko, do którego chętnie się wcieliłem. Był tutaj przeważnie Polacy. Umundurowanie, jakie otrzymałem, składało się z francuskiego hełmu o dziwnym kształcie, bluzy z munduru angielskiego, spodni i butów niemieckich i karabinu typu *mauser*.

Codziennie musztrowano nas w języku francuskim. Karmili nas dobrze, dostawaliśmy tytoń i kto chciał czerwonego, ciepkiego wina. Mój żelazny prowiant i ubranie, które otrzymałem od Staśki w Monachium, były dotychczas nienaru-

październikowych wrażeń, zanotowanych w hotelu Nord et Champagne bezpośrednio po przedstawieniu.

Otóż przybyła nie przygotowana informacja, iż sala widowiskowa Bouffes du Nord ziała pustką lat 25, uderza przy wejściu przede wszystkim „nowoczesność” jej turpizmu. I teraz jeszcze, przyznam się, nie chce mi się wierzyć, by ręka autora elementów scenicznych spektaklu, Michela Launaya, nie wzmocniła cokolwiek wyrazu artystycznego dewastacji poczynionej przez czas. Tak czy inaczej, trudno o pełniejsze otoczenie widza scenografią, w której nowoczesność stylistyczna, wytworzona przez autentyczną staroświeckość lokalu, stałaby się tak wymownym symbolem degradacji dusz ludzkich pokazanej w Szekspirowej sztuce. Krytycy skwapliwie podchwycili sugestię sprawy inflacji, marnotrawstwa, konsumpcyjnego nastawienia społeczeństwa, jakże uniwersalnie dziś aktualnej. Atoli nie tylko ze stratą złota traci się dzisiaj „przyjaciół”, zwolenników, wyznawców, lecz także — i może nawet nade wszystko — z chwilą strącenia z wysokiego stanowiska. W dzisiejszej rzeczywistości szekspirowskie „złoto” staje się diabło pojemnym symbolem.

O sławnych poczynaniach Petera Brooka wiedzieliśmy nie mało już od lat blisko dwudziestu. Niejednemu nasz atrofik miał sposobność podziwiać w Warszawie wspaniałego „Tytusa Andronikusa”, następnie „frapującego „Króla Leara” i całkiem niedawno, bo w 1973 r., mógł obejrzeć „Sen nocy letniej” w wykonaniu objazdowej trupy Brooka. Były to rezultaty „normalnej” pracy utalentowanego, odkrywczego inscenizatora. Ale Peter Brook nosił się nadto z projektami, którym mogły, wydaje się, przyswiecać pomysły Artauda, zafascynowanego teatrem Mali. W liście z marca 1973 r. do studentki angielskiej, który został opublikowany przed pełnym tekstem francuskiej wersji „Tymona Ateńczyka”, pióra Jean-Claude Carrière’a, wydanym z okazji paryskiego Festival d’Automne, pisze Peter Brook co następuje:

Graliśmy niedawno w Afryce w warunkach bardzo zbliżonych do przedstawienia elżbietańskiego. Chcę powiedzieć, że docieraliśmy do wsi, gdzie cała ludność tłoczyła się dokoła dywanu, na którym myśmy grali. Byli tu starcy, mędrcy, prostaczkowie, młodzież, nawet małe dzieci i to wówczas, gdy udawało się nam na różne sposoby zainteresować ich wszystkich jednocześnie, dane nam było doznać prawdziwej satysfakcji.

Z myśla o powszechności teatru i chyba z zamiarem współczesnienia Szekspira przy pomocy przekładu na obcy współczesny język zakładał Brook w r. 1970 Międzynarodowy Ośrodek Poszukiwań Teatralnych w Paryżu (CIRT), tworząc dla swych eksperymentów zespół składający się z aktorów różnych narodowości (przypomina mi się inny, lecz nie mniej szlachetny, cel założenia

„międzynarodowej” rodziny dziecięcej Józefiny Baker) imponujące to artystyczne i pozateatralne dokonanie Brooka na razie odosobnione w sektorze teatralnym jest, moim zdaniem, głównym wyróżnikiem jego koncepcji pośród innych obecnych poszukiwań światowej awangardy, rozpowszechniających się coraz szybciej i szerzej — pomysłów spopularyzowanych tak dalece, iż stały się znakami powszedniego języka teatralnego dalszej doby, kałającego przewidzieć konieczność nawrotów do jakichś odmian wypróbowanego, niezmiernie realizmu. Właściwie aktorzy Petera Brooka, poruszający się w ekspresjonistycznej scenarii, ustawieni w ekspresjonistycznych sytuacjach, grają bez udziwnień, a największy sukces uzyskuje François Marthouret, wcielający się w rozrzućnika Tymona, opętanego nasją czynienia ludziom dobrot („tant de folie pour être bon!”) — i wiecie, państwo, kiedy ten aktor ma najrzadsze brawa? Po swym oskarżycielskim monologu zawiedzionego, który, dalszobóg „przeżywa” niemal zgodnie z metodą Stanisławskiego (a niechaj za to wynurzenie bije w mnie ploruny naszych domorostych awangardzistów).

Inna rzecz, że spektakl jest w ogóle znakomity. Przede wszystkim wyniki pracy nad aktorami. Oczywiście wzmiankowany przed chwilą monolog jest wyjątkowym momentem emocjonalnym. Wyodrębniłam go raczej dla egzemplifikacji żywotności realizmu. Peter Brook stawia na wewnętrzne przekonanie intelektualne aktorów, co też w pełni osiąga, nawiasem mówiąc, u nas, jak to niedawno zaobserwowałam Wojciech Pszoniak w postaci Robespierre’a, a czym nie zdołali się wykażać prowadząc dyskurs inni aktorzy „Sprawy Dantona” na sztucznie zaniżonym „miejscu do grania” warszawskiego Teatru Powszechnego.

Wynotowałam sobie wiele detali owego spektaklu szekspirowskiego, nie będę go jednak opisywać na tym miejscu, zrobiło to już paru kolegów krytyków, prasowo sprawniejszych. Przeczytałam też z zainteresowaniem w aneksach do sztuki notatki z kilku prób „Tymona”, sporządzone na gorąco przez współpracującego z Brokiem francuskiego inscenizatora Jean-Pierre Vincenta, no i dość obszerny wywiad z Peterem Brokiem, datowany wrześniem 1974 r., czyli całkiem przedpremierowy. Wydało mi się, że w niektórych momentach spektakl przewyższa teoretyczne założenia, nieco odchylając się od nazbyt utartych formuł (Vincent: „Współczesny aktor psychologiczny usiłujący pracować wewnątrz wstępuje na mylną ścieżkę”). Wszelako wychodziłam z teatru z przeświadczeniem, iż wymieszanie scenograficzne i sytuacyjne wszystkich czasów dało fenomenalny efekt ponadczasowości prezentowanego problemu. Powiada Peter Brook:

Każdemu widzowi, który stanął w obliczu świata spustoszonego przez Tymona i świata rodzącego się z zamyślenia Alcybiadesa, nasuwa się pytanie: Co trzeba zgładzić? Co ocalić? Jest to kwestia życia i śmierci.

Takie pytanie postawił nam również Wajda w „Piliacie i innych”.

URODA

Maria Brzezińska

PRZEPRASZAM was, zadymione podwórka mojego dzieciństwa, przepaszam wszystkie dachy komórek i nawet tę obórkę, której dwie czarne szybki były jak oczy krowy niegdyś tam żyjącej, przepraszam dzięką gruszę, która uschła z tęsknoty za ludźmi, przepraszam, że odeszłam od was i myślę teraz, że jesteście brzydcy.

Podobają mi się nowe domy i młode drzewa mojej nowej dzielnicy. A do was, do waszej bez-urody wracam czasem na jawie, częściej w snach. Tam nauczyły się żyć wszystkie łęki dzieciństwa i młodości i dlatego nie mogę się z wami rozstać zupełnie, wilgotna piwnico, mroczny korytarz, trzaskająca brama. Tam, na bezkształtnym podwórczku, rosło niegdyś drzewo wysokie, potem je zrabano, zapomniano; od tego właśnie drzewa zaczynają się złe sny, to z niego leci jakiś fioletowy proszek, który nas, schodzących do schronu — piwnicy, paraliżuje w momencie końca świata czy początku wojny... Wieje wtedy ogromny wiatr i drzwi komórek otwierają się same...

Zastanawiam się: czy dzieciom wychowanym wśród pięknych drzew, ładnych domów, dzieciom otoczonym wieloma barwnymi przedmiotami, będą śnić się kosmary mające kształty rzeczy niby swojskich, a brzydkich, okropnych, strasznych. Czy znajdują takie rzeczy w swoim otoczeniu? Być może, ale chyba znajdują ich dużo mniej, niż ja w swoim podmiejsko-cygańskim dzieciństwie.

Ale nie tylko dlatego chcę dziś mówić o urodzie, że ostro odczuwam różnicę między brzydota dawniej dzielnicy a pięknoscą nowej. Bo gdzie tam tej nowej do piękności! Pod oknami plac budowy, rozorana ziemia, dźwigi, ciężarówka, błoto. Z drugiej co prawda strony posadzono dużo nowej zieleni, ale teraz, w zimie, żadna z tego pociecha, ponuro jak wszędzie!

Ale właśnie — nie jak wszędzie! Bo nie jest to ponurość beznadziejna. Tu na błoto mówi się: a to tak tymczasem, „aby” budowę skończyli! Ludzie się upominali o urodę swojego nowego otoczenia, i tam, gdzie przy ich pomocy zasiano już trawę i posadzono krzewy, tam będzie się dbać o nie, jak o blask parkietu na święta we własnym mieszkaniu. Jestem tego pewna. Byłam kiedyś świadkiem takiej sceny: na dworze zimowa wichura, deszcz ze śniegiem, od przystanku biegnę, byle szybciej do domu. Mijam pierwszą klatkę i widzę, że z drugiej wybiega jakaś pani w szalczku na głowie, bez płaszcza, w sweterku. Staje przy trawniczku, zresztą już białym, kładzie na ziemi latarke i zaczyna wbiwać kolki, by ludzie przez trawnik nie skracali sobie drogi do domu. Tędy nie wolno! A że trawnik przysypany śniegiem, to cóż z tego?

Przepraszam, ta dygresja była za długa. Pora już przestać mówić tylko o domach, trawnikach i ulicach. Są jeszcze ludzie. Ludzie stamtąd... Z Kośminka, zza Cukrowni... Jak wcześniej zacięra się tam granica między młodością a starością... Jakby w ogóle nie było tak zwanego wieku dojrzałego... Jak szybko brzydą dzweczyny... Dwadzieścia dwa lata, dwoje dzieci. Któż by o takiej powiedział — dziewczyna! Na ogół tegie, brzydki umalowane, w niezgrabnych futrach, włosy zeszczone koplasytymi lokami i lakierem. Tu na pewno żyć nie jest lekko, ale ten brak urody — to także tradycja. Powszechny brak gustu wynika z powszechnego braku wykształcenia, modele dyktuje tradycja drobnomieszczańska w wydaniu dla ubogich.

Bardzo wiele i tam się zmieniło. Dziewcząt nikt już nie przesładował za mini spódniczki albo zbyt obcisłe spodnie. Przyzwyczajono się nawet do długich włosów chłopców. Poza tym, jak pamiętam, nigdy nie dziwowano się specjalnie stylowi życia tych nielicznych ludzi, którzy mieli wyższe wykształcenie. Tak, jakby automatycznie dawano ono prawo do ekstrawagancji. Jedną tylko moja ciotka zapytała, gdy już skończyłam studia: Dyplom masz? — Mam! — To kiedy sobie zrobisz trwałą ondulację?

szone i zachowane na czarną godzinę, do teczki doszły jeszcze moje pasiak. Dziesięć dolarów dobrze schowałem i myślałem, że jak się skontaktuję z matką, to jej prześlę te pieniądze. Jednakże tygodnie upływały, a ja cierpliwie czekałem na odpowiedź z domu, która nie nadchodziła.

Pewnego wieczoru, będąc na rauszu, pojechałem dorożką do burdelu. Przy sobie z wyjątkiem tych dziesięciu dolarów nie miałem ani grosza, dorożkarzowi kazałem się zatrzymać przy znanym mi już domu i poleciłem na siebie czekać. Wchodząc do środka, nie musiałem szukać swojej wybranki, znalazły się ich na raz dwie, lecz ja jedną wziąłem za rękę i powędrowaliśmy do pokoju. Zostałem szybko i umiejętnie rozebrany. Później poszedłem do okna, ażeby sprawdzić, czy dorożkarz czeka na mnie. Wzrok mój padł na drzewo, stojące przy oknie i to, co zauważyłem, rozśmieszyło mnie. Drzewo było ubrane, jak choinka: na gałęziach wisiały prezerwatywy.

Kilka dni później przekroczyłem granicę włoską. Byłem znów ubrany w swoje pasiak i znów szedłem pieszo, kierując się w głąb kraju. We Włoszech pierwszą noc spędziłem pod krzakami nieopodal drogi. Później przywędrowałem do jakiegoś miasteczka, a ludzie przystawali i spoglądali na mój dziwny ubiór, widocznie w tych stronach nie wiedzieli, gdzie noszono takie pasiak. Włoskiego języka nie znałem i trudno mi było dowiedzieć się o miejscu stacjonowania polskiego wojska.

Nikt mnie nie zatrzymywał, nikt nie pytał, dokąd idę lub skąd jestem. Upłynęły cztery dni mojej pieszej podróży. Dopiero na piąty dzień spotkałem polskie orzelki andersowców. Zostałem porządnie nakarmiony z kuchni wojskowej i to prosto z kotła, następnie przebrano mnie w wojskowy mundur i odwieziono do miejscowości Porto-Sangiorgio do obozu wojskowego, który utrzymywał pieczę nad różnymi uchodźcami.

W Porto Sangiorgio poznałem jednego sierżanta, który pochodził z Brodów i który znał dobrze mego ojca, on to najwięcej się mną opiekował i wspomagał czym mógł.

Obóz położony był nad samym Morzem Adriatyckim. Tutaj pomagałem w kuchni i czyniłem wszystko za okazaną mi pomoc. Stąd wyjeżdżałem do wielu innych obozów wojskowych. Później zwiedziłem Rzym i inne ciekawe zakątki Włoch. Najbardziej lubiłem przesiadywać w małym porcie rybackim, a szczególnie wówczas, kiedy rybacy wracali z połowów.

Pod koniec roku 1945 zostałem wywieziony do Calais we Francji, gdzie na kwarantannie przebywałem trzy dni. Następnie wsadzono mnie wraz z innymi na statek. W ten sposób dostałem się do miejscowości Oulton Park Camp w Cheshire.

Tu w obozie wojskowym przebywałem do wiosny 1946 r. Pomimo piłki nożnej i innych gier życie uważałem za nudne. Od czasu do czasu wybierałem się na zabawę i na piwo do pobliskiego miasteczka Windsford.

Pewnego dnia poznałem na zabawie w Windsford Angielkę. Nazywała się Doris Taylor. Od tej chwili, jak poznałem Doris, życie moje potoczyło się wesoło. Nieomal codziennie pleszo, lub też jak miałem pieniądze — to piętrowym autobusem, udawałem się do swojej dziewczyny.

Rodzice Doris prowadzili sklep spożywczy i tutaj też mieszkali. Powodziło im się nieźle. Otóż w ich domu byłem częstym gościem, a wieczorami chodziłem z Doris do kina i na spacer.

Wiosną 1946 roku przeniosłem się z obozu do Windsford, gdzie podjąłem pracę w budownictwie. Mieszkanie dostałem u jednego emerytowanego policjanta irlandzkiego, u którego również się żywiłem. Pomału zacząłem się dorabiać, stać mnie było już na kino i na inne wydatki, które uprzednio pokrywała Doris.

Pewnego jesiennego wieczoru 1946 r. kiedy wróciłem wieczorem z pracy do domu, zastałem tam moją znajomą. Była to Aida, z którą nieraz tańczyłem na zabawie. Kiedy doprowadziłem siebie do porządku i zmieniłem ubranie, Aida poprosiła mnie, ażebym ją odprowadził do domu, ponieważ jest ciemno i boi się iść sama.

Na dworze siąpił deszcz, okryliśmy się razem

peleryną i spacerkiem odprowadzałem Aidę do domu.

Po drodze zamieniliśmy tylko kilka słów ze sobą, dopiero jak zbliżyliśmy się do furtki prowadzącej do domu Aidy, Aida zaproponowała mi filiżankę herbaty. Herbata w Anglii służyła na każdą okazję. Aida wskazała mi miejsce na małej sofie przy kominku, od którego było przyjemne ciepło, a wydawało się, że żarząca się kłoda nigdy się nie wypali, sama zaś udała się do kuchni, skąd za chwilę przyniosła dwie filiżanki gorącej herbaty.

Aida powiedziała mi, że również jej rodzice są w pracy, a braciшек śpi na górze. Ciepło bijące od kominka i półmrok panujący w pokoju podziały na mnie jak „hiszpańska muszka”, przytuliłem Aidę do siebie i namiętnie zacząłem całować. Do zbliżenia jednak nie doszło. Zderawowałem się tą sceną, poderwałem na nogi i nie mówiąc „good night” wyskoczyłem na ulicę.

Zimne powietrze oraz deszcz ochłodziły mnie już całkiem, a gdy dochodziłem do domu spotkałem dobrego koleżkę i razem udaliśmy się na małego drinka.

Długo nie mogłem usnąć. Zastanawiało mnie to, że dotychczas — pomimo że już tak długo chodzę z Doris — nie udało mi się jeszcze ani razu zbliżyć się do niej. Była chłodna i nieprzystępna dla tego rodzaju igraszek. Przymusem obawiałem się cokolwiek czynić, bo wiedziałem, że za to są wysokie kary więzienia.

Z Doris zanośliło się już poważnie na zawarcie związku małżeńskiego. Wobec Doris i jej rodziców zgadzałem się na takowe zaślubiny, lecz kiedy byłem sam i kiedy naustroniu w ciszy zastanawiałem się nad tym, to coś mnie odpychało, coś mi mówiło, że zostanę związany na całe życie i nie będę mógł dalej podróżować, tak jak planowałem.

Dalszy ciąg nastąpi

Okno -tęcza sztuki -ki

Co jest
grane
na tym
targu?

PIEKNIENIE rozwijają się w Lublinie tzw. targi staroci. W marcowej imprezie, która odbyła się w gmachu liceum przy Placu Wolności, wzięło udział ponad stu kolekcjonerów, amatorów mody retro, handlarzy i ludzi obdarzonych znakomitą wężem do interesów. Świeczniki szły po kilka, a zegary po kilkanaście tysięcy. Ale rekord pobiła figurka kobieca z ko-

ci słoniowej, za którą zapłacono 40 tysięcy złotych. To już, proszę państwa, nie jest prowincjonalne kolekcjonerstwo, motywowane czystym sentymentem do przedmiotów starych i ładnych, to jest Europa, czyli handlowa lokata kapitału. Tu już nie potrzeba wrażliwości estetycznej, tu nie potrzeba znajomości sztuki, tu absolutnie wystarcza orientacja w koniunkturze. Zamiast śliczeństwa nad książką Bochnaka o rzemiośle artystycznym, studiuj cenniki, bo pierwsze zajęcia owocuje tylko satysfakcją poznawczą, drugie chleb przyznosi — nieźle nawet posmarowany.

Jeszcze trochę, a może i w naszej prasie natkniemy się na ogłoszenie reklamowe, zbliżone swoją treścią do tego, które ukazało się w jednym z tegorocznych numerów „Le Monde”. Oto szwajcarska firma „Forum Antiquitarum” z Lozanny przekonuje, że najlepszą inwestycją jest nabycie „medali, przedmiotów sztuki antycznej, obrazów, biżuterii artystycznej”. Wykładasz 10 tysięcy dolarów, a po czasie suma ta wraca ci do kieszeni, tyle że pomnożona do 1 000 000! Wymienienie dolarów na złotówki nie pozbawia tej operacji określonego wdzięku, dlatego też uwagę naszych kolekcjonerów kierują na adres: 27, rue de Bourg, 1003 Lausanne (Suisse).

Sztuka była, jest i będzie przedmiotem handlu. To chyba jasne. Trudno przecież zrozumieć, dlaczego trywialnym targowiskom, opanowanym powoli przez cwaniaków szukających łatwego zysku, przydaje się rangę wydarzeń kulturalnych. Tzw. targi staroci — kto wymyślił ten wstrętny eufemizm, kryjący istotę rzeczy?! — dorobiły się patronatu

instytucji społecznie pożytecznych, godnych szacunku. Urządzane są w Wojewódzkim Domu Kultury, ostatnio w szkole ogólnokształcącej — „w długich korytarzach, na dwóch kondygnacjach”, jak informuje gazeta. Wiem, zamysł był złośliwy, chodziło o stworzenie stałego miejsca spotkań autentycznych kolekcjonerów, ludzi ogarniętych nieklamną pasją gromadzenia przedmiotów artystycznych, czy symbolizujących historię. Tymczasem mamy jarmark, żywioł, chaos, stragany i niczym nie krępowaną licytację oraz walkę na gołe pięści o co ciekawszy towar. Nasuwa się podejrzenie, że tylko nie liczeni walczą o sztukę, większość walczy o pieniądze.

Zresztą: proszę bardzo, postawmy na postumencie złotówkę. Ale ustalmy jednocześnie jakieś reguły gry, jakieś obowiązujące wszystkich zasady postępowania. Tracąc złudzenia co do kulturotwórczego charakteru imprezy, zyskamy przekonanie, że oto rozwija się sprawa w miarę uczciwa, a poczciwe staruszki, taszczące na targi rodzinną porcelanę, samowary i orderki zniechęcających mężów, nie będą narażone na cwaniacką inicjatywę. Najlepiej jednak zrobimy otwierając w Lublinie zapowiadzaną już placówką „Desy”.

Od pewnego czasu instytucja ta demonstruje w kraju i za granicą znaczną prężność i niezłe pomysły, można więc przypuszczać, że i w Lublinie stanie na wysokości zadania. Skorzysta na tym również Wojewódzki Klub Kolekcjonerów. Zwolniony z jarmarcznych obowiązków (?), będzie miał okazję do prowadzenia działalności zgodnej z jego potencjalną naturą. Przypomnę, że kolekcjoner to jest taki człowiek, który coś tam gromadzi ze z n a j o-

mością rzeczy i czerpie z tego satysfakcję niewymierną w złotychkach. Może to jednak anachroniczna definicja...

Z innego rodzaju jarmarkiem zetknąłem się w Miejskim Domu Kultury, gdzie w marcu otwarto wystawę absolwentów wyższych szkół plastycznych. Kilkunastu młodych ludzi pokazało obrazy, grafiki i rzeźby, co na pewno świadczy o pietetyzmie, z jakim nasze akademie podchodzą do tradycji artystycznej. Mówiąc o jarmarku, nie miałem na myśli nie uwielającego twórczej godności pokolenia, które wystawiło się w tzw. Białej Sali. Chodziło mi o wskazanie, że w lubelskim MDK doszło do beznamiętnego licytacji pracowni akademickich, przez które przewinęli się autorzy dzieł ekspozycyjnych. Rzadkie przypadki niezgody na profesorskie przykazania owocowały dwuznacznymi, więc można by powiedzieć, że ostatecznie lepiej słuchać starszych, niż rączkować samopas. Trudno przecież o taką konkluzję, albowiem i te pokorne prace ujawniały okazałe obszary niepewności warsztatowej. Nie wydziwiałmy jednak, bo pokazano nam realizacje świeżo upieczonych magistrów sztuki, a poza tym nieco dobrych zapowiedzi zawierały grafiki i rzeźba.

Sam fakt zorganizowania wystawy wypadła odnotować po stronie dodatniej naszych rozrachunków. Oczywiście, jeśli spojrzymy na sprawę z pozycji działacza kultury, mecenasa. Inny punkt widzenia zmusza, niestety, do postawienia takiego oto pytania: na Boga, panie i panowie, dlaczego jesteście tacy neutralni wobec tego, co tkwi w rzeczywistości, w której żyjecie? Znacze Dudę-Gracza?

IJK

POMYŚL ZANIM POŁKNIESZ...

Halina Chabros

PRZECIEŹNY śmiertelnik zażywa mniej więcej sześć leków. Człowiek chory, leczący się u specjalisty, wymaga, oczywiście, bardziej intensywnej kuracji, tak że — jak obliczono — lekarz specjalista dysponuje około 120 lekami.

Pogląd na skuteczność działania leków w wielu lekarzy, a także pacjentów, jest bardzo różny. Są lekarze szafujący hojnie lekami, są pacjenci, u których używanie leków przeradza się w lekomanie, a są i krańcowo inni, unikający leków jak diabeł przysłowiowej święconej wody. Tragiczne doświadczenia z Thalidomidem, którego pokłosie w postaci noworodków-potworków do dziś jeszcze wstrząsa opinię publiczną na całym świecie, szczególnie uczuliło ludzkość na każdy nowy, „rewelacyjny” lek, reklamowany z wielkim szumem i nakładem środków przez producentów.

Zresztą i wiele innych, początkowo wydających się być szczytem osiągnięć światowej farmakopei leków, zabłysło na krótko jak meteoryty i wkrótce znikło z lekospisów. Okazało się bowiem że szerokie codzienne stosowanie nie tylko nie potwierdziło ich skuteczności terapeutycznej w pełnym, pierwotnie podawanym zakresie, ale ujawniło, że obciążone są one szkodliwymi działaniami ubocznymi. Dlatego słuszną wydaje się myśl, wypowiedziana przez jednego z uczonych, że 90 proc. obecnie stosowanych na całym świecie leków można wrzucić do oceanu i ludzkość nie straci, a jedynie ucierpią ryby. Jednocześnie jednak trzeba z całą odpowiedzialnością stwierdzić, co potwierdziły doświadczenia medycyny światowej, że pozostało 10 proc. leków stanowi tak cenna, broń w walce z chorobami, iż bez nich nie można by wyobrazić sobie dzisiejszej terapii czy postępu w medycynie.

Współczesny przemysł farmaceutyczny produkuje coraz więcej lepszych i skuteczniejszych leków, które wypiera-

ją starsze, mniej skuteczne i mniej wartościowe. Poza tym wprowadzono w ostatnich latach szereg zupełnie nowych, oryginalnych grup leków, dzięki którym wiele dotychczas nieuleczalnych chorób można skutecznie leczyć, bądź im zapobiegać. O ile do 1880 roku wprowadzano do lecznictwa pięć nowych leków w ciągu każdego stulecia, w pierwszej połowie wieku lekarze otrzymali już pięć nowych leków w ciągu każdego roku, a po zakończeniu drugiej wojny światowej liczba nowych leków, wprowadzanych co roku do lecznictwa światowego, zbliżyła się do 100, u nas zaś do 50.

Polski przemysł farmaceutyczny zajmuje w tej chwili jedno z pierwszych miejsc na świecie, jakkolwiek w porównaniu z 7,5 tys. pozycji znajdującymi się w lekospisach RFN i Japonii, oraz 12 tys. we Włoszech, nasze 2000 wydać się ilością niezbyt imponującą. Ale właśnie ta ostrożność wypuszczenia na rynek nowych leków, oraz produkowanie preparatów w różnych dawkach i postaciach decydują o tym, że nasze leki są bardzo starannie sprawdzone klinicznie, zanim zostaną wprowadzone do masowego stosowania. Zapewnia im to wysoką rangę na rynkach światowych, pomimo bardzo dużej konkurencji renomowanych firm zagranicznych. Wystarczy powiedzieć, że 40 proc. naszych leków eksportowanych jest do 70 krajów świata, w tym do tak wysoko rozwiniętych państw, jak Anglia, Szwajcaria, RFN, Stany Zjednoczone i ZSRR, co przysparza Polsce ponad 2,5 mld zł dewizowych, zarabianych przez same Tarchomińskie Zakłady.

Największym producentem polskich leków jest Zjednoczenie Przemysłu Farmaceutycznego „Poiła”, które obejmuje 12 fabryk, posiadających nowoczesną automatyczną aparaturę i wysocze rozwinięte pracownie naukowo-badawcze. Poza tym Poiła podlega Instytut Przemysłu Farmaceutycznego, z którym współpracuje większość zakładów farmakologii i klinik Akademii Medycznych oraz zakładów chemii wyż-



Fot. J. Urban

szych uczelni całego kraju. Współpracą ta jest owocna dla obydwu stron — Instytutowi daje cały zespół spostrzeżeń i doświadczeń farmaceutów i klinicyстів, a klinikom i zakładom naukowym możliwość stosowania nowych leków oraz fundusze na rozwój aparatury badawczej. Nie też dziwnego, że polski system jakościowej kontroli leków został bardzo wysoko oceniony przez Światową Organizację Zdrowia.

Niemalą udział w tych badaniach ma ośrodek lubelski. Pracownikom Zakładu Farmakologii Instytutu Patologii Klinicznej i Zakładów Farmakodynamiki AM przypada w udziale współautorstwo czterech oryginalnych nowych polskich leków — impronalu, edanu, binazyny i bikordinu. Kilkanaście dalszych, opracowanych przy współudziale lubelskich farmakologów z Akademii Medycznej i Akademii Rolniczej, znajduje się w końcowym etapie badań klinicznych.

Szczególną uwagę poświęcili lubelscy klinicyści badaniu grupy środków kardiologicznych, antybiotyków, leków stosowanych w chorobach otolaryngologicznych, leków psychotropowych, sulfonamidów o przedłużonym działaniu, preparatów hormonalnych i leków przeciwpadaczkowych oraz dużej grupy leków dermatologicznych. Wiele badań miało charakter wdrożeniowy. O-

koło 120 nowych polskich leków, których badanie farmakologiczne i ocenę kliniczną przeprowadzono w ośrodku lubelskim, znalazło zastosowanie w lecznictwie krajowym i zagranicznym. Szczególne zasługi w tych badaniach mają: Zakład Farmakologii i Farmakodynamiki Instytutu Patologii Klinicznej, kliniki Otolaryngologiczna, I i II Chirurgii Ogólnej, Ginekologii Zachowawczej, Patologii Ciąży i Porodu, Położnictwa, Neurologiczna, Ogólna Chorób Wewnętrznych, Kardiologiczna oraz Dermatologiczna AM, zaś w Akademii Rolniczej — Zakład Farmakologii i Kliniki Chorób Wewnętrznych.

Jak dalece skomplikowane są badania każdego nowego leku wprowadzanego na rynek, niech świadczy liczba, których wymowa dla przeciętnego pacjenta jest wprost oszalamiająca. Odkrycie jednego wartościowego leku wymaga przebadania ok. dwóch tys. nowo zsintetyzowanych związków chemicznych, co pociąga za sobą koszty, w wysokości wielu milionów dolarów. Badania trwają średnio od pięciu do ośmiu lat. Potrzebna jest też do tego celu współpraca specjalistów różnych dziedzin.

Po raz pierwszy kontrolowaną farmakoterapię u człowieka przeprowadził w r. 1747 James Lind. Jednakże dopiero w ostatnich 20 latach na skutek eksplozji leków i narastającej fali przypadków patologii polekowej, Gold i Goodum sprecyzowali potrzebę utworzenia nowej dyscypliny medycznej, którą nazwano farmakologią kliniczną. Z uwagi na to, że opanowanie trzech tak różnych dyscyplin, jak medycyna wewnętrzna, farmakologia doświadczalna i statystyka medyczna jest rzeczą niemożliwą, proponuje się powoływanie zespołów badawczych, składających się z internistów, farmakologów klinicznych i lekarzy, specjalnie uzdolnionego oraz przeszkolonego w matematyce. Trzeba bowiem dokładnie przebadać wpływ nowego leku na reakcje biochemiczne, biofizyczne, fizjopatologiczne i psychologiczne organizmu. Równocześnie wylania się konieczność opracowania norm etycznych i prawnych, w ramach których lekarz może prowadzić kontrolowane leczenie człowieka nowym preparatem.

Lubelski Ośrodek Naukowy, który był nie tylko współautorem kilku leków, ale prowadzi szeroko zakrojone badania, żywi nadzieję, że lubelska sesja, zorganizowana pod koniec ub. roku pod hasłem: „Nauka i przemysł w służbie ludu”, zacieśni jeszcze wymianę doświadczeń pomiędzy przemysłem farmaceutycznym a klinicystami, wdrażającymi i sprawdzającymi w praktyce efekty prac przemysłu.

Wrzask i furia

STOCZEK Łukowski jest młodziwą miłośniczką, pół-wsią właścicielką — jak to czasem bywa — o bardzo pięknych tradycjach historycznych. Nieco szerzej w ostatnich latach mówiono o Stoczku z okazji organizowanych tam Wojewódzkich Sejmików Wiejskich Zespołów Teatralnych (w tym roku zresztą imprezę przeniesiono do Tarnobrodzkiego).

Rozpocząłem ten tekst nieco sennie, jak na spokojne wypracowanie społeczno-kulturalne przystało. A przecież ma to być historia kryminalna. I będzie historia kryminalna, albowiem Stoczek w ciągu ostatnich dwu lat zastąpił serią pożarów. Zaczęło się to właściwie w nocy z 21 na 22 lipca 1972 roku, kiedy spłonęły obora i stodoła wartości przeszło 30 tys. zł. I potem już tak szło. Płonęły sterty słomy, stodoły, obory, komórki, domy mieszkalne. A w lipcu 1973 roku spaliła się nawet imitacja karczmy staropolskiej wartości 400 tys. zł, postawiona w Stoczku z okazji kręcenia filmu „Noce i dnie”. Potem znowu szopy, stodoły...

Przyczyn pożarów ani sprawcy nie udawało się ustalić. Biegli sądowi w zakresie pożarnictwa zachodzili w głowę — może dzieci zaprząsnęły ogień, może ktoś rzucił niedopałek, może chlewy zajęły się od sąsiedniej wędzarni?... Milicja rozpytywała pogorzalców — może mieli z kimś targi i to jest zemsta? Skądże znowu — spokojni obywatele wzajemnie się miłujący. „Nikt nikomu nawet się nie odgrazywał, panie władzo”. Dokumentacja śledcza kolejnych pożarów była coraz dokładniejsza, fotografowano niemal wszystko: dymiące jeszcze zgliszcza, rumowiska i pogorzeliiska. Robiono wnikliwe szkice sytuacyjne, protokoły oględzin. Opisano spalone prosiaki, resztki słomy, utratowane z pożogi meble, tapety, kłódki, porzucone pudełka od zapalek. Zabezpieczono nawet ślady obuwia blisko miejsca jednego z pożarów. Potem miało to znaczenie decydujące, ale na razie świadkowie nie wnosili nic istotnego, a prokuratorzy musieli umarzać postępowanie.

W powietrzu zawisła groza, dopust sił nadprzyrodzonych, irracjonalna gra mocy nieczystych. Szczególnie, gdy pewnego dnia czerwcowego w ubiegłym roku wybuchło aż sześć kolejnych pożarów w Stoczku. Tylko PZU musiał wypłacić poszkodowanym całkiem realne pieniądze za straty, które potem zostaną zbilansowane kwotą 662 000 zł, utopionych w 25 pożarach. Poczynano się robić całkiem niewesoło, szczególnie, że jeden z wypadków pożogi miał miejsce obok stacji CPN.

Początkiem końca był pożar w nocy z 6 na 7 listopada 1974 roku, kiedy to spłonęły dwie stodoły, komórka i sterta słomy. Dwu funkcjonariuszy stoczkowskiej milicji sporządziło notatki urzędowe z pełnienia służby tej nocy. Z pisemek tych wynikało, że Stanisław B., chłopak 28-letni, „trochę trącony” (jak o nim powiadają miejscowi), chodził nocą pijany po Stoczku i prawdopodobnie wybił szybę w oknie plebanii, a zaraz potem w pobliżu wybuchł pierwszy pożar u kamieniarza cmentarnego, z którym Stanisław B. miał na pieńku, albowiem za wykonywane dorywczo roboty kamieniarskie za mało dostał od mistrza pieniędzy. Zresztą z plebanem Stanisław też miał na pieńku na tym samym ile zbyt niskiego wynagrodzenia. Nawet podobno straszyl plebana biskupem i w końcu wymusił dodatkowo 50 złotych. I wreszcie na pieńku miał z filmowcami, którzy nie chcieli go zaangażować jako statystę, choć obiecywali. 7 listopada 1974 roku Stanisław B. został aresztowany.

Zeznaje kolejno na posterunku MO w Stoczku, w Prokuraturze Powiatowej (Łuków), KW MO w Lublinie. Jest dzieckiem wielodzietnej rodziny chłopsko-robotniczej. W domu bida. W dzieciństwie przechodził zapalenie opon

mózgowych. Ojciec bijal go po głowie. Skończył dwie klasy podstawówki, więcej nie dalo rady. Z wojska zwolnili go po miesiącu. Nie ma zdrowia do prac polowych. Rodzice przestali mu dawać jeść, myśleli, że udaje chorobę. Jak go wyganiali, to wychodził z domu i spał w piwnicy u księdza. Często mu dawał jeść kościelny. Zatrudniał się u różnych ludzi dorywczo przy lżejszych robotach, przynosił, podał, pozamiatał. Był takim popychadłem i każdy się z niego nabijał, wyśmiewał. W filmie chciał faktycznie pracować, ubierali tych ludzi w stare ubrania i naświetlali ich, to była lekka robota, ale nie przyjęli go w końcu. Z plebanem i kamieniarzem miał na pieńku, nie zapłacili, co się należało. Coś go nagralo i wybił miotłą szybę w plebanii. Ludzie ostatnio woleli mu płacić wódką niż pieniędzmi. Po wypiciu wódki traci pamięć i nie wie, co robi. Chce się dobrowolnie przyznać do wszystkiego, co podpalił, ale ma krótką pamięć i może wszystkiego nie pamiętać. Przy ostatnich pożarach to nawet brał udział w ratowaniu, motorowerem swoim oświetlał karcznię, żeby strażacy widzieli, gdzie wodą polewać. Kiedy podpalił już jakiś budynek i widział pożar, to śmiał się, sam z siebie się śmiał. Podpalał przeważnie bez powodu, gdzie mu było bliżej. Nie wie, o czym wtedy myślał. O niczym nie myślał. Nie wie, który teraz jest rok...

Wrócono do umorzonych spraw. Zarządzono wizję lokalną, która tej wiosennej zimy trwała dwa grudniowe dni. Kręcono tę wizję kamerą filmową, zrobiono kilkadziesiąt fotografii, nagrano kilka kaset magnetofonowych. Pod koniec zaczął padać deszcz i zepsuł się magnetofon, ale on, ubrany już w obszerny aresztancki strój, skwapliwie pokazywał wszystko — jak podpalał i gdzie. Postępowanie i cierpliwie odmierzał kroki. Wszystkie umorzone sprawy zostały wyjaśnione. I może nie ma już wielkiego znaczenia fakt, że na sam koniec Stanisław B. odwołał swoje zeznania, potwierdzone wizją lokalną. „Mówiłem tak, bo się bałem, że mnie prowadzą na rozstrzał”. Przyznał się tylko do ostatnich czterech podpaleń właśnie tej nocy z 6 na 7 listopada 1974 roku. Zabezpieczone ślady obuwia wskazują jednak na niego jako na sprawcę większej liczby podpaleń.

Z opinii sadowo-psychiatrycznej: „Aktualnie sprawność intelektualna na poziomie lekkiego upośledzenia umysłowego... Naiwne i konkretne myślenie... W czasie dokonywania zarzucanych mu czynów mógł się znajdować w stanie nietrzeźwości i miał ograniczoną w stopniu znacznym zdolność do rozumienia znaczenia czynów oraz ograniczoną w stopniu znacznym zdolność do kierowania swoim postępowaniem”. W akcie oskarżenia prokurator przychylił się do tej opinii biegłych; ma tu więc sąd możliwość „zastosowania nadzwyczajnego złagodzenia kary” na podstawie art. 25 § 2 Kodeksu Karnego.

Taka postać jak Stanisław B. w literaturze może stać się bohaterem znakomitego dzieła, co Faulkner zdołał przekonywająco udowodnić. W życiu jednak taka postać staje się „bohaterem”, a raczej ofiarą ludzkiej bezduszności, braku najwykleszej życzliwości, poczucia okrutnej nietolerancji wobec inności drugiego człowieka. Biegli psychiatrzy mówią o „mechanizmie kompensacyjnym” u Stanisława B. Faktycznym „bohaterem” tej historii jest małomiasteczkowa „spokojna” społeczność Stoczka.

pom

Przewracać coś — irytacja, złość
 Prządka widzieć — ostrzeżenie przed niehonorowym czynem
 Przygrzewać coś na ogniu — powrót miłości
 Przyjaciół — spokój w domu
 Przyjaciół, pogrywać się z nim — choroba
 Przyjaciół, rozstać się z nim — nawiążeć nową przyjaźń
 Przyjęcie gości urządzić — przejściowe troski
 Przyklejać coś — odnowienie przyjaźni
 Przykleknać — pogodzić się z losem
 Przymierzać suknię lub ubranie — pienne nadzieje
 Przyływ morza — zyski, powodzenie
 Przyrost majątku — szczęście rodzinne
 Przyrzekać — wiara we własne siły
 Przysięgać — dotrzymasz danego przyrzeczenia
 Przysłuchiwać się — dowiesz się niepochlebnych rzeczy o sobie
 Przysmaki — zazdrość cię ogarnie
 Przysłań — koniec kłopotów
 Przyslanek — niezwykle spotkanie
 Przywiązywać — spełnione nadzieje
 Pszczoły — zapobiegliwość przyniesie ci szczęście
 Pszczoły, być pogryzionym — spory z przyjaciółmi
 Pszczoły, roje — zysk, wygrana
 Pszczoły chwycić — skorzystasz z okazji
 Pszczoły zabijać — nieszczęście
 Pszenica w pełnych kłosach — dobrobyt
 Pszenica pokładziona — przeciwności
 Ptaki w locie — wieści z daleka
 Ptaki — niepewność w interesach
 Ptaki chwycić — niepewne nadzieje
 Ptaki w klatce — przechytrzysz sprawę
 Ptaki strzelać — wyrządzisz komuś krzywdę
 Ptaki śpiewające — radość, zadowolenie
 Ptasie jaja — nieoczekiwany zysk
 Ptasie gniazdo — miłość i szczęście we wszystkim
 Puch — niedostatek, kłopoty
 Puch porwany z wiatrem — straty przez lekkomyślność
 Puchacz — zmartwienie, czasem śmierć
 Puchlina u kobiety — zwiastun bliskich trosk
 Pudelko — prezent
 Pudelko zniszczone — zawiedzione nadzieje
 Pudrować — niegrzeczne posunięcia
 Pudrować się — niepoważny flirt
 Pukanie — niemila wiadomość
 Pulehną kobietę widzieć — szczęście w miłości
 Pulehne dziecko — powodzenie we wszystkim
 Pułapka — będą sprawy urzędowe
 Pułk wojska — zatargi z ludźmi w mundurach
 Purpura — jakiś kataklizm, wojna, pożar
 Puszcza — trudności nie do przebycia
 Pustelnik — praca z samozaparciem
 Puszka pełna — zysk
 Puszka miodu — przymusowa oszczędność
 Pycha — popelnisz karygodny czyn

R

Rachunek otrzymać — nieprzewidywany wydatek
 Rad słuchać — niewdzięczność
 Rady udzielać — pogrywasz się z kimś
 Rady udzielane przez zmarłych — trzeba wypełnić, jak radzą
 Radować się — melancholia
 Radosne nowiny — choroba znajomych
 Raj — szczęście, powodzenie
 Raki żywe, ciemne — troski
 Raki czerwone — nieszczerłość, fałsz
 Raki jeść — zwoźnicze zyski
 Raki łapać — niepowściągliwa checiwość
 Rakiety świetne — zaproszenie na zabawę, zebranie
 Rakiety tenisowe — unikniesz nieszczęścia
 Rama — narzucisz komuś swój punkt widzenia
 Ramię złamane, chore — bezsilna złość
 Rana — szkoda w domu
 Rana krwawiąca — zmartwienie sercowe
 Rana ropiejąca — wyrzuty sumienia
 Rannego widzieć — ważne ostrzegawcze wiadomości
 Raport przyjmować — poznasz ważną tajemnicę
 Raport zdawać — odważne posunięcie
 Raty płacić — pozbędziesz się kłopotu
 Ratować kogoś — ludzie będą niewdzięczni
 Ratunek przyjąć — zaciągniesz pożyczkę
 Ratusz — czekają cię sprawy urzędowe
 Razowy chleb — utracony spokój
 Rąbać — pójdziesz przebojem do celu
 Rdza — poznasz zło
 Rebus odczytywać — zawikłanie spraw
 Recepta — choroba, niedomagania
 Ręcznik — poznasz dobrego przyjaciela
 Ręce silne, zdrowe — dobre samopoczucie
 Ręce słabe — niepewne jutro
 Ręce brudne — skalany honor
 Ręce myć — nie będziesz mieć nic wspólnego z jakąś sprawą
 Rękę stracić — dobry przyjaciel zawiedzie
 Rękę całować — uzyskasz pomoc w potrzebie
 Rękawiczki — złe podejście do interesów
 Rękawy — dobrobyt
 Rękawy wytarte — niespodziewana strata, zguba
 Restauracja — lekkomyślna strata pieniędzy
 Reumatyczne bóle — niepowodzenie
 Robactwo — choroba
 Robactwo zabijać — nieprzyjemności
 Robotnik — pewność pracy, stała posada
 Rodzeństwo — nieuzasadnione pretensje
 Rodzeństwo zmarłe — troski, żale
 Rodzice — przynoszą szczęście

Dalszy ciąg nastąpi

Kultura 1975

BADANIA

● Instytut Badań Literackich prowadzi coraz aktywniejszą współpracę z ośrodkami zagranicznymi. W tym roku np. ukazała się praca zbiorowa historyków literatury z Polski i NRD o literaturze antyfaszystowskiej w czasie ostatniej wojny, a także antologia „Tatrzańskie opowieści zbójeńskie”, owoc współpracy z badaczami Czechosłowacji. Nad specjalistycznym materiałem o „Zjawiska wspólne i specyficzne w literaturze krajów socjalistycznych”, który ukazuje się w pracy zbiorowej, przygotowującej przez Instytut Literatury Światowej im. Gorkiego w Moskwie. Wreszcie IBL wraz z Instytutem Słownoznawstwa i Balkanistyki Akademii Nauk ZSRR przygotowuje część pracy zbiorowej pt. „Powinowactwa”. Studia z literatury polskiej i rosyjskiej”. Dodajmy, że w ostatnich latach IBL był współorganizatorem 31 konferencji międzynarodowych, które odbyły się w Polsce.

EKRAN

● Światowym bestsellerem krótkometrażowego filmu dziecięcego, a także dochodowym artykułem eksportowym stała się seria „Bolek i Lolek”. Wyprodukowano właśnie setny odcinek. Twórcą całego pomysłu był reżyser Władysław Nehrebecki, który działał na do pomocy kilku kolegów. Pełnometrażowy film o dwóch chłopcach, który właśnie powstaje, oparty jest na powieści Juliusza Verne'a „W 80 dni dookoła świata”.

● W 30 rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem ukazała się (premiery w Wolgogradzie) zekranizowana wersja powieści Michała Szolochowa „Oni walczyli za ojczyznę” — pod takim samym tytułem. Reżyserował Sergiusz Bondarczuk, grający zarazem jedną z głównych ról. Bondarczuk sam spędził cztery lata na froncie.

● W latach 1908—1973 ukazało się 129 filmów, opartych na utworach Aleksandra Dumasa — oca. Światowy rekord z Szekspirem. Ale Dumas — ojciec napisał także 57 sztuk teatralnych, z których żadna nie była

grana po wojnie, a w ogóle żadnej nie wydano dotychczas drukiem.

MINISTROWIE

● Jeżeli wierzyć szwedzkiemu dziennikowi „Aftonbladet”, rząd tego kraju jest najbardziej muzykalnym rządem na świecie. Bo prozie, Premier Olof Palme gra chętnie na gitarze, fascynuje go szlachetny jazzowe z lat pięćdziesiątych. Minister do spraw samorządu jest znanym gitarzystą, chętnie gra także na lutni, uwielbia ballady. Minister kultury i szkolnictwa — gra na fortepianie i orzanchach; minister komunikacji — doskonale pianista i harmonista; minister do spraw zatrudnienia i płac — śpiewa, szczególnie chętnie złośliwe kuplety; minister rolnictwa — wytrawny skrzypek, popisał się grą w restauracji w Budapeszcie podczas wizyty oficjalnej w tym kraju, grając znakomicie czardasza; minister finansów — nawet na półoficjalnych przyjęciach śpiewa piosenki włoskie pięknym basem; minister bez teki (pani Sigurdson) popisuje się ariami operowymi.

PAMIĘTNIKI

● „Figaro Littéraire” opublikował fragmenty pamiętnika Grahama Greene'a. Jak się okazuje, od 25 lat, angielski pisarz ma różne kłopoty ze swoim nieuchwytnym sobowtórem. Jest to jakiś ciemny typ, który za różne sprawy trafił już kilka razy za kratki w Indii, USA i Szwajcarii. Czasem podaje się za sławnego pisarza, czasem występuje pod fikcyjnym nazwiskiem, ale tak, aby się domyślono, kim (rzekomo) jest. W konkluzji pisarz zapytuje: „Ogarnęło mnie metafizyczne przerażenie: może ja jestem „tym drugim”, a tamten prawdziwym Greenem?”

● Brigitte Bardot też zabrała się do pisania pamiętników. Amerykański wydawca zapewnia, że „będzie to idealna lektura do poduszki”. Poczekamy, zobaczymy.

OPINIE

● Marek Rymuszek w nr 12 „Prawa i Życia” w artykule pt. „Jak przekazywać” analizuje py-

tania „czy, kiedy i jak relacjonować” w prasie procesy sądowe stwierdzając:

„Na ile to jeszcze razy słychać te w formie katechetycznej stwierdzenia, zadające, by przedmiotem publikacji były jedynie sprawy, w których wyrok się uprawomocnił. Tei koncepcji, powiedzmy sobie szczerze, przedkładając prasie propozycje statusu bezczynności i posłusznego obserwatora, hołdują jeszcze niestety niektórzy praktycy wymiaru sprawiedliwości... Kierownictwo resortu sprawiedliwości i Prokuratury Generalnej uczyniły wiele, by na co dzień te uprzedzenia przelamać”.

● W czasie renowacji krakowskich Sukiennic odkryto jakieś sotyczne portale, w związku z czym niektórzy konserwatorzy zaproponowali, aby przenieść Sukiennice, czyli kramy, w inne miejsce, a portale eksponować jako zabytek dla turystów. Olgierd Terlecki pisze na ten temat w „Życiu Literackim” nr 11:

„Już widzę owe tłumy, najstanniej omijające pasaż Sukiennic, razem z portalami przeobrażony w mury tunel... Oto rzeczowa propozycja: Sukiennice przenieść, powiedzmy na Wolę Justowska... Następnie wydłubać do imentu ślady dawnych na Rynku fundamentów. Otrzymamy ogromną lamę... Reklamować pod hasłem: Superjama nie Pudziama, ale za to największa dziura w największym rynku Europy... Czegoś takiego niedzie na świecie nie było i długo nie będzie”.

POMNIKI

Warszawa ma w tej chwili 49 pomników. W porównaniu z innymi stolicami świata bardzo mało. W tym roku przybędą dwa.

9 maja, w rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem, obok czarniakowskiej płyty desantowej odsłonięty zostanie pomnik „Chwała Saperom”. Poza symbolem, nie będzie on miał wiele wspólnego z przedwojennym Pomnikiem Saperów koło Politechniki. Nowy pomnik to sześć 26-metrowych bloków wyobrażających eksplozującą minę oraz płaskorzeźba z desantem idącym na pomoc powstańczej Warszawie. To będzie pięćdziesiąty pomnik w naszej stolicy.

Pod koniec bieżącego roku zobaczymy następny — imię pana Bolesława Prusa, który będzie (jakby) spacerował po Krakowskim Przedmieściu. Warto przypomnieć, że Prus z zasady był przeciwnikiem wszelkich pomników, demonstracyjnie nawet nie poszedł na odsłonięcie pomnika swego starszego kolegi, Mickiewicza.

ROZNICE

● Państwowa Biblioteka im. Włodzimierza Lenina w Moskwie obchodzi pięćdziesiątą rocznicę istnienia. Jej zbiory obejmują ponad 23 milionów woluminów w 89 językach narodów ZSRR i ponad 100 z innych krajów. Tak np. stała wymiarsza periodyków obejmuje 90 państw świata. Gdyby wszystkie półki biblioteki powstały jedna za drugą, powstałaby półka długości 250 km. Czytelnicy mają do dyspozycji 21 sal.

● Minęło właśnie 15 lat od chwili powstania Interwizji. Powołano ją do życia na obradach telewizji krajów socjalistycznych w Budapeszcie, obecnie jej centrum programowe i techniczne znajduje się w Pradze. W roku ub. nasza telewizja przekazała do wspólnego wykorzystania 233 pozycje, sama zaś z zasobów Interwizji nadała 364 pozycje — przeciętnie jedna dziennie.

● W tym roku minie sto lat od wybudowania w Poznaniu pierwszego budynku teatralnego (dziś Teatr Polski), na którym widnie dumny a odpowiadający prawdziwie napis: Narodź się, Działalność artystyczną rozpoczęto premiera „Zemsty” Fredry.

ZAPOMNIANI

● To byłby mały do apel do naszych, lubelskich historyków. Napisał już niemal wszystko, co możliwe o hetmanie Janie Zamoyckim. A tymczasem właśnie minęło 50 lat od chwili, gdy jego potomek Władysław, syn też Władysława, który po swoim wujku Janie Działyńskim odziedziczył dobrą w Kórniku w woj. poznańskim, przekazał te dobra wraz z arcybogata biblioteką w zabytkowym zamku narodowi polskiemu. W Bibliotece Kórnickiej, należącej dziś formalnie do Polskiej Akademii Nauk, znajdują się m. in. rękopisy Słowackiego („Beniowski”), Mickiewicza (III część „Dziadów”), Garczyńskiego („Wacława dzieje”), Norwida, Kościuszki, Wybickiego itd. Czyba warto przypomnieć te postaci zasłużonego działacza, przesławanego przez Bismarcka?

● Jeszcze bardziej zapomnianym człowiekiem jest wynalazca pisma dla niewidomych. Mówi się, że był nim ociemniały Francuz Ludwik Braille, który 150 lat temu opracował system pisma wypukłego, opartego na 6 punktach w prostokacie. Prawda to i nieprawda. Sam system punktów jest wynalazkiem Braille'a. Ale

rok wcześniej inny Francuz, kapitan artylerii Charles Barbier, przedłożył Akademii Nauk w Paryżu pomysł posługiwania się pismem wypukłym, złożonym z kresek i punktów. Kapitanowi chodziło o to, aby w nocy można było zapisywać i odczytywać meldunki oraz rozkazy wojskowe, i na nim wzorował się Braille.

BIULETYN

● Każdy, kto interesuje się dziejami i stanem dzisiejszym krytyki artystycznej, powinien zapoznać się z ostatnim „Biuletynem ZG ZPAP” (nr 34 z 1974 r.), poświęconym niemal w całości tej problematyce. W liczącym 150 stron numerze, wydrukowanym na świetnym papierze w nakładzie ok. 10 tysięcy egzemplarzy, znajdują się publikacje polskich i zagranicznych krytyków oraz teoretyków sztuki. Poszczególne artykuły sygnowała m. in. M. Porebski, U. Czartoryska, M. Gutowski, M. Hniewdziewicz, B. Bernstein z Tallina, G. Boudaille z Paryża, J. Chalupcey z Pragi, L. L. Lippard z Nowego Jorku, Ireneusz J. Kamiński (z Lublina). Wydawnictwo zawiera ponadto obszerną kronikę XIV walnego zjazdu ZPAP, który, jak wiadomo, odbył się w ub. roku w Lublinie. Pismo ma charakter wewnętrzny, ale można się z nim zapoznać w bibliotekach i w BWA.

LUBLINIANA

● W Klubie MPiK jak zawsze rodzą się dobre pomysły, a potem następują dobre realizacje. Odbywały się tam już różne wystawy graficzne, ale raczej dość przypadkowo. Teraz „otwarto” tam stałą galerię pod nazwą „Tworzyć”, która co miesiąc będzie prezentowała dorobek wybitnego grafika polskiego z okresu Trzydziestolecia, łącznie ze spotkaniem z twórcą. Inauguracja odbyła się w niedzielę 23 marca, swoje prace pokazał i mówił o nich Alfred Lenica. Komisarzem galerii, prezydentem i autorem katalogów będzie Tadeusz Chabros, wicedyrektor Muzeum Lubelskiego.

● W sali Filharmonii trzykrotnie wykonano estradową wersję opery Gounoda „Faust”, w której wystąpili soliści warszawscy, filharmonicy lubelscy i chór Echo. Po kilkuletniej przerwie znów coś wyjątkowo w Lublinie atrakcyjnie. Oby nie skończyło się na jednorazowym zryw!

noty i notki

Od Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Mięsnego w Lublinie otrzymaliśmy, jako jeden z 31 odbiorców, zaproszenie na ocenę wędlin, produkowanych przez wytwórnie państwowe, spółdzielcze i prywatne. Osobiście miałbym coś niecoś złośliwego do powiedzenia na temat niektórych naszych wędlin, zwłaszcza w porównaniu z wrocławskimi czy warszawskimi. Ale nie powiem. Cóż to bowiem za ocena, o której wszyscy zainteresowani wiedzą ponad tydzień wcześniej? Zawracanie Wisły kijem.

● W samym Nałęczowie zaś niemal równocześnie wpuszczono łabędzie do stawu, a przy ul. Paderewskiego otwarto lokal pod dumną nazwą „Night club”. Nawet ładnie urządzony, tylko nie wiadomo do kogo należy, bo na szyldzie tego nie uwidoczniło. A swoją drogą ciekawe, kto zezwolił na uruchomienie tego lokalu z dyskoteką, dancingiem do północy i gramii automatycznymi w uzdrowisku, które ma leczyć ludzi chorych na serce?

● Podczas koncertu jubileuszowego „Sztandaru Ludu” w hallu hali widowiskowej sprzedawano doskonale lody. Ale szturmem zdobyli je tylko nieliczni, bo co znaczy jedna panienka w ciągu kwadransa na 2 tys. chętnych? Ciekawo, kiedy nasz handel dojdzie do wniosku, że z okazji takich czy również sportowych imprez warto w halli uruchomić sprzedaż obnośną, pobierając za to po 20 lub 30 groszy więcej?

JOD

Kamena str. 14

KLUB STAREJ FOTOGRAFII

KLUB STAREJ FOTOGRAFII



Zdjęcie przedstawia: ochotniczą straż pożarną w Białopolu w pow. hrubieszowskim na tle budynku Państwowej Klinkiarni i Betoniarńi, którą kierował W. Stankiewicz.

Data wykonania: 1930 rok.
Autor: ?
Nadawca: Wincenty Stankiewicz, Lublin, ul. Krańcowa 112 m. 44

KLUB STAREJ FOTOGRAFII

KLUB STAREJ FOTOGRAFII

KLUB STAREJ FOTOGRAFII

KLUB STAREJ FOTOGRAFII

KLUB STAREJ FOTOGRAFII

Odpowiedzi redakcji

M. K. Kazimierz Deloy. Bardzo przepraszam za szerokość, ale chyba o nią Pani chodziło. To nie wiersz, to nawet nie wierszyki. To „kost-kost-lapci”. Jakże układała sobie dziecię przed zabawą w chowanego. Z tym, że dzieci nie trzymają się jednego tematu wykazują więcej przypadkowej inwencji.

M. S. Puchacz. Bardzo to niedobre, że napisał pan 200 „wierszów”. Woleli-byśmy 200 wierszy. Albo nawet mniej, byle nie zawierały strof takich jak ta: „Coż znaczy ten dzień powszedni / Gdy w blasku jasnym, słonecznym / Wciąż słuchasz myśli swych bredni / I wciąż ze snem czekasz wiecznym”.

R. R. Lublin. Podejrzewam, że wpadł Pan w najniebezpieczniejszą euforię, mia-nowiąc euforię radości z własnego pi-sarstwa. To zresztą potwierdzają słowa listu, w którym jest mowa o „przyjem-ności”, o „zadowoleniu”, o „formie roz-rywki”. Proszę Pana, tak łatwutko zry-wa się kwiatuśki na wiosennej łączce. Wiersze się pisze z dużym nakładem e-nergii, albo nie pisze się wcale. Chyba że autorowi chodzi tylko o „wygadanie się” przed kartką papieru. Bo do kryte-ryka to „korowody bez rólana” i „wstał-ki zakieć aksamitne” nie dotra.

K. K. Nałęczów. Nie wszystkim auto-rom dajemy odpowiedzi. Jeśli by miała streścić się do słów „nie skorzystamy” nie jest potrzebna, bo to po pewnym cza-sie samo staje się widoczne. Natomiast proponować coś kiedy nadesłany mate-riał jeszcze wystarczająco się nie okre-ślił, ze zrozumiałych względów nie mo-żemy. To drugie zachodzi w wypadku Pani. Dlatego wolimy poczekać, a za-jąć stanowisko wtedy kiedy otrzymamy coś powodującego potrzebę rozmowy.

A. P. Włodawa. Są to typowe wiersze poprawne, składne, gładkie, nie wywołu-jące sprzeciwu, ani — zainteresowania. Autor jeśli nie ma zamiaru wyrazić naj-głębszego siebie, nie powinien brać pió-ra do ręki. „Poezja jest zamachem na wszystko” — mawiał Julian Przybóś. I jakkolwiek w praktyce ten zamiar nie zawsze może być realizowany, nie zwal-nia to z obowiązku maksymalizmu. Już w zamiarze pisania przyjąć, że się powie ot sobie coś, to zdeprawować utwór przed jego powstaniem. Namawiam do większej ambicji.

M. P. Puławy. Jednakże ten postulat obiektywizacji. Jest nie do uniknięcia. Należy pisać tak, by stwierdzenia w tek-ście zawarte stały się własnością czytelnika, były ponarte jego żywym doś-wiadczeniem. Dotyczy to utworów nawet najbardziej egotycznych, intymnych. A odwoływać się do faktu, że dane posta-wienie sprawy, aczkolwiek nie do uchwy-lenia dla czytelnika, ma jednak pokry-cie w przeżyciu autora... No, można. Psy-chologicznie można mieć rację, ale ar-tystycznie to argument bardzo niki-ty. Przykładem nadesłane opowiadanie. O-powiadam: chce Pan mieć rację, zro-зуміę, przynajmniej ja Panu, ale sam tych przed-wzięć nie będę podzielał. Nie przeko-nać czytelnika to porażka autora.

I. K. Lublin. Tak, ale ta nachalna pas-ja stylizacyjna. Pan nie widzi problemu, sytuacji, postaci. Pan widzi papier i pió-ro, które na tym papierze ma zostawić dowód nadejścia umiędzynarodowe-go władania językiem. Te wszystkie os-rodki, te arpeggia piszczałki, staćca sa nawet technicznie udane. Nie są jed-nak funkcjonalne. Nie służą wyrażeniu. Myślę, że w niedalekiej przyszłości samo się to Panu przele nie pozostawiając na-wet wrażenia doświadczenia. Dlatego czekając na pańską autorefleksję niczego nie dorad-zam.

C. J. Janów Lubelski. Nie można przyjąć do poezji z obszaru kulturowego „świetłego barbarzyństwa”. Ostatecznie poezja realizuje się w języku, a ten jest narzędziem kontaktów międzypodmiot-o-wych, czyli wtworem kultury. Co nie oznacza, że wiersz, w ogóle utwór lite-racki ma przynosić konwencjonalne tre-ści. Na odwrót. Ale znajomość „kodu” jest to konieczna choćby po to, żeby na-tem miejsce ustanowić kod własny. Naj-bardziej oryginalni poeci byli dobrze zo-rientowani w tym, co w ich współczes-ności, w ich tradycji w dziedzinie poezji powstało. Niezależnie więc od tego, że „poezja to skok barbarzyńcy, który po-czuł Boga” (Julian Tuwim), nie można być naiwnym w znaczeniu nierozorientowa-nym. Należy być naiwnym w znaczeniu zdolnym do coraz nowych wzruszeń. Nowych.

T. J. Olsztyn. Oryginalność nie jest pos-tulatem. Jest funkcją. Jest tym korzyst-nym i pożądanym produktem ubocznym, który się ostata w procesie wyrażania. Kiedy się zużyły dotychczasowe środki wyrazu, kiedy przestała być celna, za-chodzi potrzeba odświeżenia ich i wtedy środkiem po temu jest to, co nazywamy oryginalnością. Na dobra sprawę nie jest ona niczym innym niż skutecznością, traf-nością, zachaczeniem o uwagę. Kiedy au-tor zakłada sobie „napisać utwór oryginalny”, zwykle pisze zadana sobie kła-sówkę. Nie tedy droga do własnego wy-razu.

J. K. Lublin. Trzy wiersze na dzień? Powiedziałbym, że nawet jeden test za dużo. Motywy, że rygor listów ma uzasadnienie w wypadku oproz, bo u-żyte w tym dwumyślnym, osłabionej za-życzył przez wrodzona osobność natury ludzkiej, nie poezji. Świadectwem nie osła-biamy. Lecieli tu? Każdemu odłoży pió-ro. Wtedy może napisana treść, która była domagalna bez uzasadnienia w sposób naturalny, bez sztucznych środków do-datkowych, bo to nawet w sporcie są niedopuszczalne.

Krzyżówka (nr 7)

POZIOMO: 1. członek zarządu od spraw finansowych, 8. żona Zygmunta Starego, 9. samochód, 10. słoń, 11. najwyższy szczyt w polskich Tatrach, 12. stare narzędzie tnące, 13. obowiązek, 14. światło reklamy, 15. anchois, 16. państwo w Afryce, 22. piękna stara rzecz, 23. polityk ateński, przeciwnik Peryklesa, 24. pisarz węgierski, autor „Poruszmy z posad ziemię”, 25. rejon nabez-szych win węgierskich, 27. spadająca gwiazd-ka, 28. teren, władza, społeczeństwo, 32. ze-spół śpiewaczy, 34. jedno z Wielkich Jezior płn.-amerykańskich, 35. druga linia druży-ny piłkarskiej, 36. większy kuzyn fok, 37. miejscowość letniskowa nad Popradem, 38. odznaczona Krzyżem Grunwaldu wieś wcho-dząca w skład Ostrowsa Lubelskiego, 39. miasto w woj. poznańskim nad Gwdą, 40. druga część 2 pionowo.

PIONOWO: 2. powieść z życia teatru 16 pionowo, 3. podwyższenie do załadunku i wyładunku, 4. przyroda, 5. w czasie oku-pacji wykorzystywany do oświetlenia, 6. bo-hater największego dzieła 16 pionowo, 7. najstarszy w zespole, 8. przepis działania lub używania 15. rzeka Rzeszowszczyzny, 16. pi-sarz polski — laureat Nagrody Nobla, które-go 50 rocznica śmierci przypada w tym ro-ku, 17. godziny szkolne, 18. obowiązek len-nika, 20. szybkość reakcji na bodźce, pobud-liwość, 21. powieść 16 pionowo z czasów kościuszkowskich, 26. łacińskie „kocham”, 28. największe dzieło 16 pionowo, 29. narci-ski, 30. amerykański policjant, 31. imię autora „Wspomnień niebieskiego mundurka”, 33. stolica polskiej piosenki.

Rozwiązania można nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru (skr. poczt. 131, 20-930 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań roz-losujemy bony książkowe.

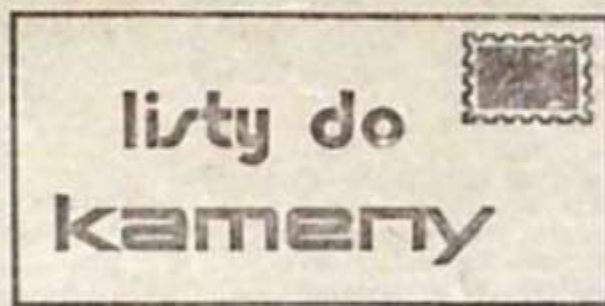
Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 5 był fragment wiersza Juliana Tuwima ze zbior-ku „Siódma jesień”:

„Oddać ci wszystko: każdy sen i drgnienie,
Każdy nerw ciała, każdy ruch i krok!
Przeszłość — to tylko o tobie wspomnienie,
Przyszłość — to tylko twój najświetlejszy
wzrok!”

	1	2	3	4	5	6	7
8					9		
			10			11	
12					13		
							14
			15		16		17
18		19					20
		22				23	
24				25		26	
						27	
	28	29		30	31		
32							33
			34				35
36				37			
			38				
39				40			

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu Nr 5 — cztery bony książkowe po 40 zł każdy, wylosowali: Władysław Panczyj, ul. Chrobrego 38/6, 50-234 Wrocław; Stanisława

Janczarek, 23-212 Wilkołaz Górny, pow. Kraśnik; Zofia Lendzion, ul. Letnia 3/117, 20-621, Lublin; Zofia Marcykiewicz, ul. Kosciuszki 1/2, 25-320 Wierzbica k. Radomia.



listy do
KAMENY

INFORMOWAĆ O ZABYTKACH

Zwracam się z propozycją utworzenia w „Kamieniu” kolumny informacyjnej o zabytkach naszego regionu, przede wszystkim powiatu lubelskiego. Być może artykuły o tej tematyce ukazywały się już na łamach dwutygodnika, lecz stojmy oto wobec sytuacji szczególnej, związanej z budową zgłębia węglowego, która ściśle związane jest z Lubelszczyzną liczne rzeźby robotników, inżynierów itp. Przyznaję, że ludzie ci zechcą wykorzystać dni wolne od pracy to sąsiedztwie przyrody, zabudów, uroczysk. Należałoby więc zaprezentować im możli-wość, o których informują stare przewod-niki, niestety, trudno dziś dostępne. Co praco-dawca lubelscy studenci podjęli się ostatnio opracowania odpowiedniego prze-wodnika, lecz jest to przedsięwzięcie na miarę przyszłości. Sam jestem zwolenni-kiem popularyzacji wiedzy z aparatem fotograficznym w dłoń, ale jedynym moim kierunkowcem są artykuły p. Tar-gońskiego w sobotnio-niedzielnym magazynie „Standardu Ludu” („Pomniki historii i przyrody”).

Podobną rubrykę powinna posiadać „Ka-mień”, a układ informacyjny można by przyjąć wg zasady: zabytki grupy zeroowej, pierwszej, drugiej. W takim cyklu nie po-temno być parę lubelszczyzny (kaplica zemkowa, kościół o.p. pijarów w Chelmie itp.), lecz należałoby zaakcentować stare dwory, karczmy, wiatrak, młyny, rezerwa-ty przyrody. Trzeba je popularyzować nie

tylko wśród turystycznych grup rajdowych, lecz także wśród szerszych kręgów społeczeństwa.
(nazwisko i adres znane redakcji)

PO STUDIACH, ALE...

Obecnie uczęszczęm do drugiej klasy Pe-dagogicznej Szkoły Technicznej w Lublinie, będąc wychowankiem Państwowego Domu Dziecka. Od dawna pragnęłam zostać nau-czycielem-wychowawcą, a pobyt w Domu Dziecka ugruntował moje zamiary. Chciał-bym więc zapytać, czy po ukończeniu obec-nej szkoły mógłbym uzyskać pracę w za-wodzie, który sobie upodobałam.

Zygmunt Radziwonka
Lublin

Od redakcji: Według informacji uzyska-nych w Kuratorium Okręgu Szkolnego, aby zostać wychowawcą w Państwowym Domu Dziecka należy skończyć wyższe studia nauczycielskie. Sytuacja kadrowa w tych pla-cówkach zmusza jednak czasami do odstą-pienia od tej zasady i angażowanie do pracy osób z wykształceniem średnim. W sprzyja-jących okolicznościach — wolny etat — mógł-by zatem Kolega zrealizować swoje zamiary.

DOBRY „MALEŃKI”

Od pewnego czasu czunny jest przy ul. Narutowicza w Lublinie bar-bistro „Maleń-ki”. Dawniej lokal nosił nazwę „Nad By-strzycą”, czyli był popularną „Nadbystrzy-cką”, gdzie pili się na umór, nie zdejmując płaszczy, waczków i prochowców. Swiasta egzotyka miejsca nie mogła przystąpić fak-tu, że jest to pospolita szeluna. Przez pe-wien okres działająca zresztą w pobliżu reprezentacyjnego hotelu „Victoria”, od-danego do użytku trzy lata temu. Takie sąsiedztwo przynosiło określone efekty pro-pagandowe.

Obecnie restauracyjka uprost zachęca swoim wyglądem, sprawną i miłą obsługą oraz rzetelnością dobra kuchnią do odwie-dzin. Początkowo z tym wszystkim były pewne kłopoty, ale lokal przebrnął trud-ności reorientacji i naprawdę teraz jest po-

chwalony. Duża w tym zasługa kelnerek, które energicznie egzekwują zasadę zdej-mowania okrycia przez gości, a bufetowa nie obdługuje faceciaków, którzy domagają się piwa przy bufiecie. Może personel, wu-petniając swoje zwykłe obowiązki, nawet nie zdaje sobie sprawy, że równocześnie prowadzi coś w rodzaju działalności kulta-ralno-educacyjnej. Tymczasem dowiaduje się, że „Maleńkie-mu” grozi likwidacja, bo ktoś wpadł na pomysł urządzenia w tych pomieszczeniach jakiegoś klubu młodzieżowego. Trudno ukrywać, pomysł wydaje mi się absurdal-ny. Chocby ze względu na niewielką liczbę lokalni gastronomicznych w mieście oraz przyzwyczajony poziom usług. Jaki aktualnie oferuje bar. Posiadając znikome moce in-terwencyjne, proszę tylko: zastanówcie się, ludzie, co chcecie zrobić! Czy po to zmie-niono „profil” zakładu, eliminując „czub-cioche”, brudy i chamstwo, czy po to zmie-niono personel i wypląd lokalu, aby jed-ną decyzją przekreślić te inwencji??

Marian Więckowski
Lublin

Najlepszą
formą
terminowego
otrzymywania
„Kamieny”
jest
prenumerata

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Becherze-Rudnicka Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji) Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny) Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej: rocznie 18 zł półrocznie 9 zł kwartalnie 19,50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumerate na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumerate wyłącznie za pośrednictwem oddziałów delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur zamawiają prenumerate za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumerate na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch” Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23 40-346 Warszawa konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje intere-santów w poniedziałki i piatki w godz 14-16.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lu-belskie Zakłady Graficzne Im. PKWN Unicka 4. Zam. 761 20.III.75. E-4

Numer łamali: Mieczysław Psujek, drukownik zespół pod kier. Stanisława Wielgosa

Adres redakcji 20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35

Nr indeksu 37400/30331

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.
Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-930 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

falszem

7:0

WYGRALISMY z USA 7:0. Zdaniem Ciszewskiego, bramkarz amerykański, Ivanov, był po stronie gości najlepszym graczem na boisku. Rzeczywiście pozostałych zawodników niemal prawie się nie widziało. Z powodzeniem mogliśmy wycofać naszego bramkarza, Karweckiego, a na jego miejsce wystawić jeszcze jednego napastnika. Wówczas wynik mógłby brzmieć dziesięć do zera...

Mecz odbył się w zimowej scenie i chwilami bardziej przypominał hokej niż piłkę nożną. Pierwsza połowa - to gęsto padający śnieg. Współczuło się nie tylko zawodnikom, ale i widzom, którzy, jak zwykle w Poznaniu, nie zawiedli. Wszyscy czekali na strzelecki popis Jakóbczaka. Uczynni koledzy starali się stworzyć

mu szansę, w pewnym momencie Deyna omal nie zaprzęścić przez gola. Oczywiście na tak daleko idącą uprzejmość można sobie było pozwolić przy stosunkowo wysokim prowadzeniu. W eliminacyjnym meczu z Włochami wolelibyśmy tego typu uprzejmości unikać.

Dziwne, choć może i pocieszające, że drużyna USA rozegra również mecz sparringowy z Włochami. Należy się spodziewać, że będzie to bardzo ciekawy pojedynek, gdyż nasz przeciwnicy znają Tybrun zechcą pokazać klasę i wygrać w jeszcze lepszym stosunku. Ponieważ wątpliwe jest, aby mecz toczył się w identycznych warunkach, powinno im się to udać. Zawodnicy amerykańscy, mając przyśrodkowy lut szczęścia, wygraliby może z czerwoną latarnią II ligi północnej - Warta, chociaż zakłady należałoby przyjmować w stosunku jeden do jednego. W każdym razie, gdyby reprezentanci USA stanęli przeciwko zawodnikom Motoru bez żadnego lokalnego patriotyzmu postawiłbym na lubiątków!

A swoją drogą dziwi mnie takie sprawdziany. (Nie lubię tego słowa, ale „Słownik języka polskiego” je toleruje). „Trybuna Ludu” pisała: „Kolejny sprawdzian kadry przed meczem z Włochami” i w dzień później: „Optymizm w obozie naszych piłkarzy”. Wolałbym czytać: „Niepewność w obozie naszych piłkarzy”, ale wówczas musieliby oni grać nie z USA,

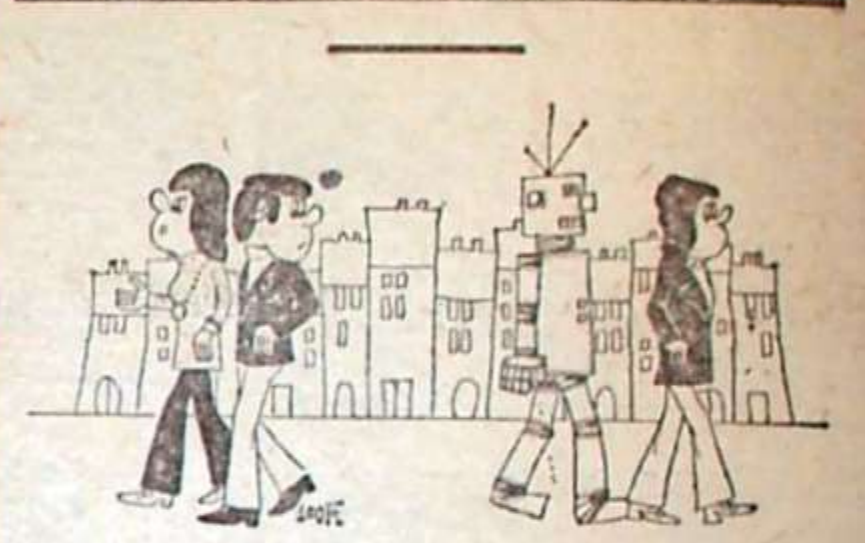
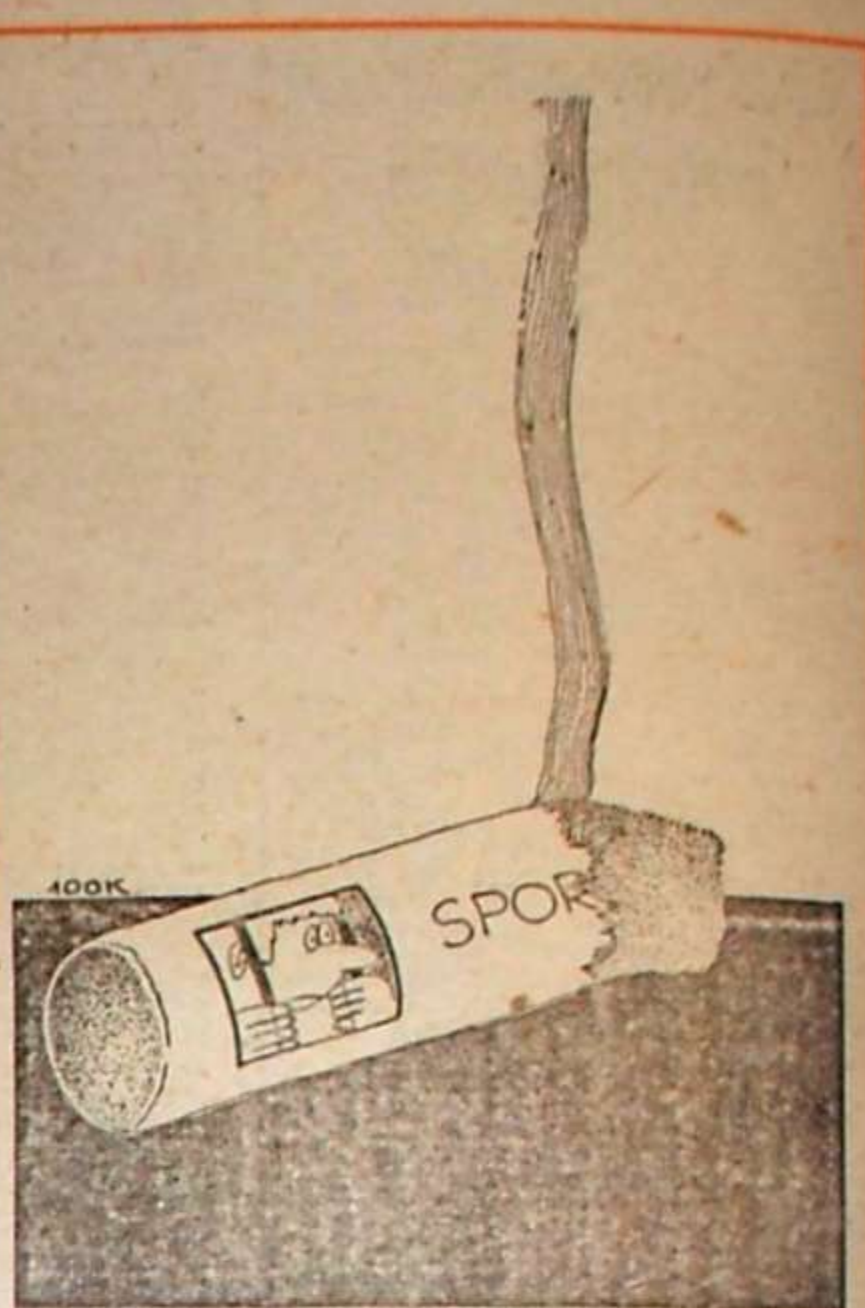
ale - dajmy na to - z Jugosławią czy Hiszpanią. W konkretnym wypadku jeśli już ktokolwiek sprawdzał swoją formę to sprawdzali ją... Amerykanie, którzy mieli frajdę, że zagrali przeciwko trzeciej drużynie świata. Sądzą, byłoby dla nich wygodniej (bliżej) spotkać się z czwartą drużyną świata - Brazylią. Przynajmniej grałoby w warunkach wykluczających możliwość przebiegnięcia się.

Ala stało się. Były tylko teraz naszym piłkarzom (którym żyję jak najlepiej) nie poprzewracało się w głowach. Były po meczu poznańskim nie nastąpił żaden przysięg w czasie spotkania z i ligową hiszpańską drużyną Valentia...

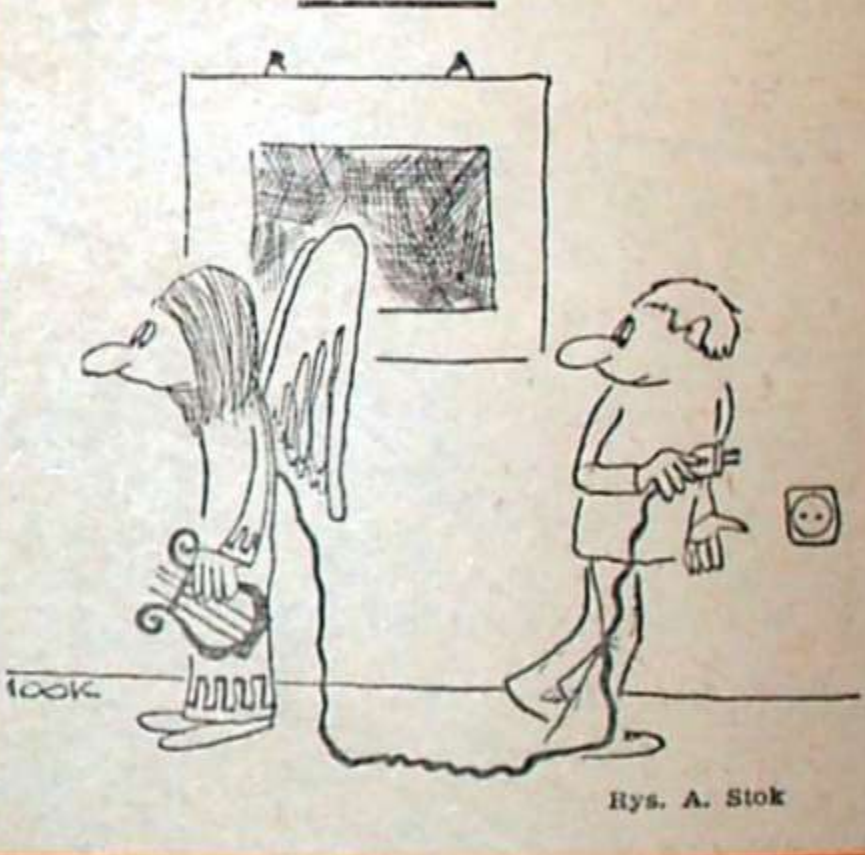
Piszę te słowa bezpośrednio po obejrzeniu transmisji telewizyjnej. Kto wie - może przeczytam w prasie, że śnieg był sprzymierzeńcem Polaków. Może dowiem się, że drużyna biało-czerwonych rozegrała znakomite spotkanie.

Nie czarujmy się. Lepiej wygrać 1:0 z przeciwnikiem wysokiej klasy niż 7:0 z przeciwnikiem, w którym jedyną gwiazdką był... bramkarz. (Mimo tych siedmiu puszczonych goli). Może więc ciekawsi byłby pojedynek samych bramkarzy? Wówczas przynajmniej Karwecki nie skreślałby się z zimna. Dlaczego pozwolono mu wystąpić z gołymi kolanami? Szanujmy zawodników!

MAJ



— Popatrz, Jola zafundowała sobie na wiosnę nowego robota.



Rys. A. Stok

minuta myślenia

Niech no tylko zakwitną hiacynty

WIOSNA jasnych oddechów gołępianych słuchaj! - pisał Józef Czechowicz w wierszu „kwiecień tych co bez troski”. I kolorystyka tego obrazu zawsze kojarzy mi się ze świętami wielkanocnymi, pełnymi owych wiosnianych oddechów aż po granice wytrzymałości każdej poetyckiej, bo dziecięcej wyobraźni. Wielkanoc! Owe pasma powietrznych świetlistości, wróbił rozgwar przelewający się przez opłotki, samo zastąpienie zielono-różowej radości przez tak długi czas złościwie ukrytej za chmurą. Niestety. Tym razem trafnie przepowiedziana, rozkojarzona aura marca - miasteczka z dwunastu braci i tak rozkojarzonego najbardziej - poplątała mi wszystko. Pamięć wiersza ze złorzeczeniami natury meteorologicznej. Tak w dodatku skutecznie, że pisząc tych kilka słów niby poświęconego felietonu, zaczynając ręką długopis machać w żółci. Zgiął wszystko, przepadnij! Za brak mojej wiosny, za meteorologiczne oszustwo, za ścisł w troleibusach, za Bogdan Tomaszewskiego.

Bo Bogdan Tomaszewski dnia 15.III. 1973 r. miał w telewizji „wieczór autorski”. Nie w swoim - jak się to mówi - emplot. Tym razem imię i nazwisko na zasadzie odruchu wa-

runkowego skojarzone ze sportem zostało przyadaptowane do wspomnień o Warszawie. Tomaszewski wystąpił jako „varfavianista” (jest taki termin?). Właściwie nie mam o to pretensji i rzeczywiście znany filozof sportu wykazał wiele serdecznej pamięci miastą będącego równocześnie Arkadią dzieciństwa Bogdana Tomaszewskiego, ale cóż...

Tak czy siak, wciąż myślałem, że sekwencje wspomnieńowe są tylko wprowadzeniem do tematu, w którego osnowie usłyszę o piłce nożnej, biegu maratońskim, czy choćby nie pasjonującej mnie koszykówce. Ze rzec o placach, kinach i aktorach dawnej Warszawy to tylko sprytny zabieg stylizacyjny, przygotowujący tym atrakcyjniejsze rewelacje z zakresu „laurów i kołców”. Nie stało się nic takiego i nie nie poradzę na to że doczekałem się zakończenia audycji z odczuciem pewnego niedosytu. Cóż, takie są koszty specjalizacji i to specjalizacji posuniętej tak daleko. Jak księżca Poniatowskiego nie mogą wyobrazić sobie inaczej niż skaczącego w spleniony nurt Elstery, jak Diogenes wiecznie mi siedzi w beczce i odburkuje Aleksandrowi Macedońskiemu „Nie zaslanaj mi słonca”, jak Robert Koch istnieje dla mnie tylko w postaci pana trzymającego probówkę z dżumą, cholera, tyfem i zapaleniem migdałów, na które aplikowano mi nudny śluz - tak Bogdan Tomaszewski nie wyjdzie mi z toposu sympatycznego narratora sportowego o tyle tylko wiążącego uwagę słuchacza, o ile rzecz się dzieje w kontekście bleśni, bramki, trampoliny.

Powiedziałem wyżej - audycji. I chciałbym ten problem mieć rozstrzygnięty. Wiem, że w telewizji audycji raczej nie mamy, audycja jest do słuchania, a telewizja to z samej nazwy coś do oglądania, ale celowo chciałem uniknąć terminu „program”, jakiego się powszechnie, a niesłusznie używa. „W programie wystąpił”, „nadamy program” - wtedy, kiedy mowa wyraźnie o te goz programu jednej pozycji. Ale „ujrzą państwo pozycję”? Nie wiem, coś trzeba wymyśleć. Radio ma swoją „audycję” na określenie tematycznej jednostki programu, telewizja takiej nazwy nie ma i strzela byki. Uroczę panie i szanowani panowie z ulicy Woronicza! Istnieje program tygodniowy, program dzienny.

Natomiast jedna pozycja programu z tej właśnie racji, że jedna, programem nie jest. Proszę wymyśleć coś innego, albo posługiwać się określeniem pozycja, zamiast program, przyznając, że dość sztucznym, ale przynajmniej logicznie nie sprzecznym. Ostatecznie mam jakiegoś wyuczucie, słownictwa i prosiłbym nie traktować mnie jak naiwnego Jasia.

Tak samo uroczę panie i eleganccy panowie, coś trzeba zrobić z tymi taśmowymi informacjami na temat programu jutrzejszego. Denerwujące, niedorzeczne giedzenie. Nie przeczytałem się z rozpedu: rzeczywiście niedorzeczne. Czy szanowna telewizja sądzi, że mam taką pamięć, bym mógł zapamiętać wszystkie, a choćby tylko bardziej interesujące pozycje tak anonsowanego programu? Czy może uważa, że z chwilą usłyszenia tej informacji błędnie w te pędy po kartkę i długopis? Albo jestem widzem przygodnym, wtedy nie interesuje mnie co będzie, bo i tak mój czas nie jest zgrany z czasem emisji, albo jestem widzem systematycznym, wtedy za „jedne” dwa złote nabywam sobie tygodnik „RTV” i z głowy cała troska o orientację, co kiedy zdarzy się ciekawego. Owszem, wiem, że telewizja nie może wyzyłować się do ostatka, że musi mieć „watę”, którą od czasu do czasu wypełnia program, że kondensacja przesadna nie jest możliwa. Ale jest i na to sposób. Ja w tych momentach przę o nie wielkiego, o planuję z rybą, z drzewem, o fragment muzyki (oczywiście nie tej „rozrywkowej”), o rysunek, o motylka, Pliwanie albo nie obchodzącego mnie, albo znanego programu zawsze mi się kojarzy z lekcją zastępczą w szkole, kiedy pod nieobecność profesora właściwego zamість być wypuszczonym na boisko, musiałem wysłuchiwać profesora zastępczego, drętwiącego o niczym, byle tylko stało się zadość pedagogiczno-dydaktycznym prawidłowościom.

Tu kończę. Zgodnie z nastrojem poświęconym, miałem złością obłągać cały świat, a skończyło się na telewizji. Ale to chyba i zaszczyt dla niej, jeśli w pewnych okolicznościach może występować jako całego świata wymiennik. A zatem na uspokojenie - do następnej Wielkanocy. Albo może Bożego Narodzenia? Pogoda dziś taka współczesna... Może wtedy zakwitną hiacynty.

Ijon

KOCI PAZUR Ziemowit Samczynek

Nasza nowa powieść, którą po „Smaku miłości i te” drukujemy ku pokrzepieniu (7) serc, toczy się w współczesnym świecie. Redakcja i autor nie biorą odpowiedzialności, jeśli ktokolwiek lokalizuje akcję w Lublinie.

- (4) - Mirka, przecież to nie ma najmniejszego sensu! - Te tajemnicze telefony anonimowe zaczęły już Michała denerwować. - Jeszcze raz ci mówię: rozzejrzyj się dobrze po swoich znajomych! - Ale popatrz, co to za światnia. Komu przeszkadza nasza miłość? - Cudze szczęście w oczy kole. Ale naprawdę nie przejmuj się, bo szybko osiwiejesz. - Wówczas będziemy stanowili udaną parę. Co robisz? - Przeglądam prasę. - I nie masz czasu, aby się ze mną spotkać choć na dziesięć minut? - Działaj nie. - Dobrze. Zapamiętam to sobie. Ale mówię: do zobaczenia! - Trzymaj się! - Michał odłożył słuchawkę. Chciał już poprosić szatniarza o płaszcz, kiedy w drzwiach ukazała się postać rzanego pianekarza, Konrada Czeskowiaka. - Cześć stary! - zawołał. - Trzaskiemy po matym koniku? - W godzinach pracy?

- Przestań żartować. Miał koniak tylko umysł rozjaśnić. Przeczytam ci tekst mojej nowej piosenki. Mówię ci bomba. Powodzenie mrowane. Michał nie dał się jednak namówić. Wiedział, że na jednym koniku się nie skończy, a dzisiaj miał zamiar napisać kilka stron swojej nowej powieści. Konrad wcale się tym nie zmartwił, bo już jakaś długonoga dziewczyna wybiegła mu na spotkanie.

Mingło kilkanaście dni. Michał poprawiał właśnie artykuł (noczelnemu nie podobaly się niektóre sformułowania), kiedy do jego pokoju wszedł sekretarz redakcji. - Słuchaj - powiedział - nie ma Tomaszewskiego, a tu zjawila się jakaś młoda poetka z wierszami. - To spław ją. Ja już nie mam zdrowia, żeby rozmawiać z grafomantami. - Pogadaj z nią trochę. Całkiem niezła. - Nie możesz jej wystać do redakcji „Kamery”? My przecież prawie wcale nie damyjmy poezji, co najwyżej natchne fraszki Maudy. - Pogadaj, pogadaj! Co ci szkodzi? - I nie czekając na odpowiedź zawołał: - Pani pozwoli. Kolega oceni te wiersze. Dziewczyna nie robiła wrażenia onieśmielonej. Ustąpiła bez zaproszenia i wyjechała z torby plik maszynopisów. - Czy pani już gdziekolwiek drukowała? - zapytał Michał. - Na razie jeszcze nie, ale do odważnych świat należy. - Pani studiuje? - Czasami. Ale wle pane pan! studia mnie nudzą. Praca także. Cytowalek przesłaje być sobą. - Dziwne ma pani poglądy. - Lubie oryginalność. - A jak sobie pani dalej wyobraża życie? - Pyta pan jak prokurator. - Nigdy nim nie byłem, ale kiedy oceniam jakies wiersze chciałabym, coś wiedzieć o samym autorze. - Widzi pan przecież autorkę. Czy to panu nie wystarczy? - Zmieniła nieco ton. Uśmiechnęła się. Michał nie miał jednak dzisiaj ochoty do żartów.

- Proszę zostawić te wiersze. Niech pani przyjdzie za kilka dni. - A nie zgina? Nie mam duplikatów. - U mnie jak w banku. - Ale w banku nie ma tyłu koszy! A przepraszam... Z kim mam się kontaktować? Michał podał swoje nazwisko. Skrzętnie zapisała je w notatki. Gdy znalazła się za drzwiami, rzucił okiem na pieruszki wiersz: „Dni są powolne jak rude mrówki niosące na grzbiecie upały ciężar lata. Moje cierpienie jest dla mnie pożyteczne. Daje mi prawo pisać o cierpieniu innych. Od rana wnoszę mur odgradzający mnie od ciebie”. - Hm... - mruknął Michał. - Niezłe. Ma dziewczyna talent. Przeczytał wiersz po raz drugi, teraz już na głos i pewne sformułowania wydały mu się dziwnie znane. Czyżby ten utwór już czytał? Ale nazwisko autorki, Svirhilowska, nie było mu znane. - No i co? - zapytał sekretarz redakcji. - Odkryłbym nowy talent? - Obawiam się, że to dość specyficzny talent, ktoś usługuje z nas zrobić balona. Jasne! Przecież te „dni powolne jak rude mrówki” to Motogorata Hillar. - A ten „mur odgradzający mnie od ciebie”? - Muszę sprawdzić. Zabijeś mi ładnego ciwieka. Studia i praca jej nie interesują, ale kochały tak. - Prima Aprilis za pasem. A wiesz przecież jej adres? - Nie, ale myślę, że jeszcze przyjdzie, aby się z nas pościła. - Chciałabym być przy tej rozmowie. Ty wiesz przecież jej adres? Prawie takie, jak sekretarki naszego dyrektora!

(dcm)